świat wiedzy

WYDANIE SPECJALNE SEKRETY MEDYCYNY NR 2/2026 (MAJ–LIPIEC)
INDEX 27853X, ISSN 2083-5825, **CENA 14,99 ZŁ**, W TYM 8% VAT

ZBRODNIE

KULISY ŚLEDZTW • ZAGADKI KRYMINALNE • NOWE DOWODY

ZABÓJCY KONTRA NAJNOWSZE ZDOBYCZE **KRYMINALISTYKI**

JAK POPEŁNIĆ ZBRODNIĘ DOSKONAŁĄ?



BESTIA Z WALL STREET
6 najbardziej szokujących wątków z **akt Epsteina**



URODZENI MORDERCY?
„Dobry chłopak" i „zła dziewczyna" – dlaczego **zabili jego rodziców?**



KILER
HISTORIA PRAWDZIWA
40 ofiar polskiego seryjnego zabójcy?

ISSN 2083-5825 02
9 772083 582643

Numer w sprzedaży do 1.07.2026

Zakony, przed którymi drżały imperia



Najlepszy magazyn historyczny

Już w sprzedaży

Polecamy także czasopisma na **czytelnia.pl**

E-WYDANIE

świat wiedzy

ZBRODNIE

WYDANIE SPECJALNE

SPIS TREŚCI

OKO W OKO

04 Randka z psychopatą
Rodney Alcala został skazany za siedem morderstw. Ale jego „archiwum grozy" sugeruje, że może mieć na sumieniu ponad 130 ofiar

KRYMINALNA POLSKA

06 Urodzeni mordercy?
Obudził ich przeszywający ból i seria ciosów nożem. Zanim zginęli, uświadomili sobie, że zabijają ich ukochany syn oraz jego dziewczyna

52 Byłem zabójcą, byłem gangsterem
Policyjny tajniak wniknął do gangu „Krakowiaka". W ekskluzywnym wywiadzie zdradza, jak doszło do tego, że przestępcy chcieli uczynić go swoim szefem

LABORATORIUM

14 Jak popełnić zbrodnię doskonałą?
Najnowsze zdobycze techniki kryminalistycznej nie dają mordercom zbyt wielkich szans na uniknięcie kary. Dlaczego czasem im się jednak udaje?

SKOK NA KASĘ

26 Polski skok stulecia
Bez użycia broni i bez przemocy szajka zwinęła 8 milionów złotych. Gdzie podziały się te pieniądze?

64 Jak ukraść 53 miliony funtów – i w mig je stracić
To była kradzież wszech czasów. Plan był genialny, zrealizowano go perfekcyjnie, ale przestępców zgubiły głupie błędy

RAPORT SPECJALNY

32 Bestia z Wall Street
Zagadkowe zaniedbania, tajemnicze zgony i możni tego świata – najmroczniejsze wątki wielkiej afery pedofilskiej dopiero zaczynają wychodzić na światło dzienne

SERYJNI MORDERCY

42 Kiler. Historia prawdziwa
Choć „Truskawa" dostał podwójne dożywocie za udział w 17 zabójstwach, śledczy podejrzewają, że mógł doprowadzić do śmierci nawet 40 osób!

78 Klaun z piekła rodem
Morderca w cyrkowym kostiumie istnieje nie tylko na kartach powieści Stephena Kinga. John Wayne Gacy wymyślił sobie bowiem makabryczną zabawę...

PSYCHOLOGIA ZBRODNI

48 Dlaczego zło nas fascynuje?
Naukowcy na tropie: czy za obsesją zbrodni stoi natura? A może do historii kryminalnych przyciągają nas nasze mroczne instynkty?

68 Mój przyjaciel zabójca
Była prostytutka spróbowała dotrzeć do zakamarków umysłu seryjnego mordercy. Efekty jej dziennikarskiego śledztwa w sprawie Samuela Little są szokujące

TAJEMNICE MAFII

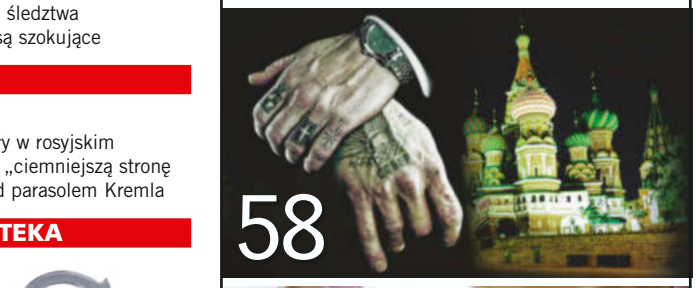
58 Wory w zakonie
Przez dekady ustalali reguły w rosyjskim półświatku, ale przeszli na „ciemniejszą stronę mocy" – i dziś działają pod parasolem Kremla

HISTORYCZNA KARTOTEKA

74 Potwory Frankensteinu
Śledztwo po czterech wiekach: czy banda grabarzy z Ząbkowic Śląskich faktycznie doprowadziła do śmierci ponad 2000 osób?









*Na niebiesko zaznaczone zostały tematy z okładki

ZDJĘCIA I ILUSTRACJE NA OKŁADCE:
Michał Walczak/PAP; mat. redakcyjne/AI; Adobe Stock (4); US Department of Justice

REDAKTOR NACZELNY
Adam Szumilak

ZESPÓŁ REDAKCYJNY
Dominika Dziosa-Józefiak, Miłosz A. Gerlich

DYREKTOR CENTRALNEJ REDAKCJI GRAFICZNEJ
Robert Latek

DZIAŁ GRAFICZNY
Natalia Gąsiorowska, Monika Komorowska, Roman Nowacki, Małgorzata Porębska, Katarzyna Strycharz-Pityńska, Michał Wolski

KONTAKT Z REDAKCJĄ
redakcja@swiatwiedzy.pl

ŚWIAT WIEDZY
Wydawnictwo Bauer
Concordia Design
Wyspa Słodowa 7
50-266 Wrocław
www.swiatwiedzy.pl

WYDAWCA
Wydawnictwo Bauer Sp. z o.o., Sp. j.
ul. Motorowa 1, 04-035 Warszawa

Prezes zarządu: Tomasz Namysł

Członkowie zarządu:
Andrzej Choynowski, Marek Lasota

Director, Publishing Management /Dyrektor Pionu Wydawniczego:
Marek Lasota

Publisher/Wydawca:
Małgorzata Grono

Dyrektor finansowy:
Andrzej Choynowski

Dyrektor ds. produkcji:
Piotr Orełko

Dyrektor ds. dystrybucji i obsługi klienta:
Piotr Ludwicki, piotr.ludwicki@bauer.pl

Dyrektor biura reklamy:
Izabela Sarnecka

Biuro reklamy:
Marcin Warych
marcin.warych@bauer.pl

Marta Potrzebska-Kalisz
marta.kalisz@bauer.pl

https://bauer.pl/reklama

Druk:
Walstead Kraków Sp. z o. o.

Copyright: Wydawnictwo Bauer Sp. z o.o., Sp. j., ul. Motorowa 1, 04-035 Warszawa. Wydawnictwo Bauer jest członkiem Izby Wydawców Prasy. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i redagowania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja ponosi odpowiedzialność w granicach wskazanych w ust. 2 art. 42 ustawy Prawo prasowe. Wszystkie nazwy handlowe i towarów występujące w piśmie są zastrzeżonymi znakami towarowymi lub nazwami zastrzeżonymi odpowiednich firm i zostały użyte wyłącznie w celach informacyjnych. Kopiowanie i rozpowszechnianie materiałów zawartych w piśmie w jakiejkolwiek formie zabronione.

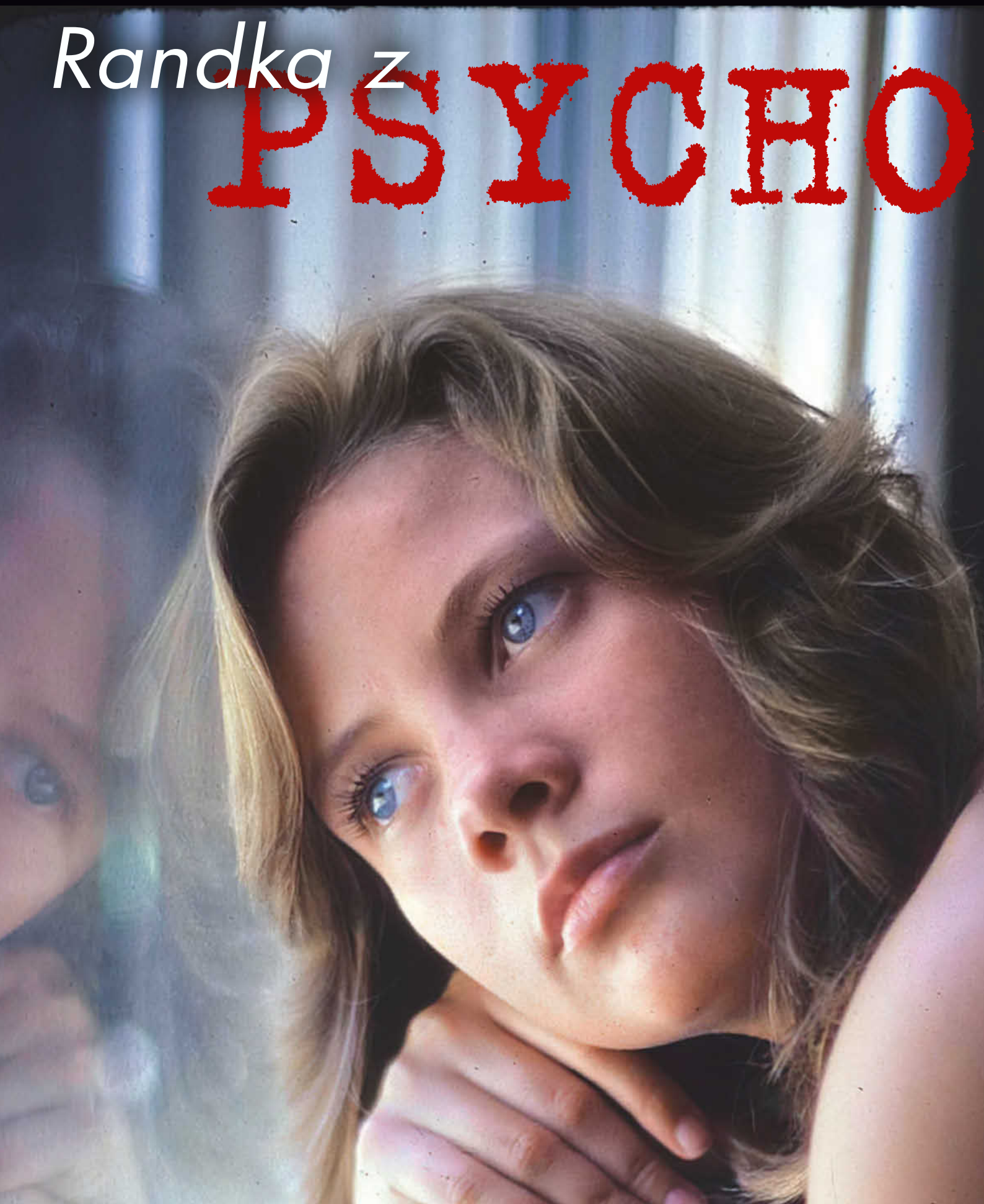
ISSN 2083-5825

Wydawnictwo Bauer ostrzega P.T. Sprzedawców, że sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych pisma po innej cenie niż wydrukowana na okładce jest działaniem na szkodę wydawcy i skutkuje odpowiedzialnością karną i cywilną.

Izba Wydawców Prasy

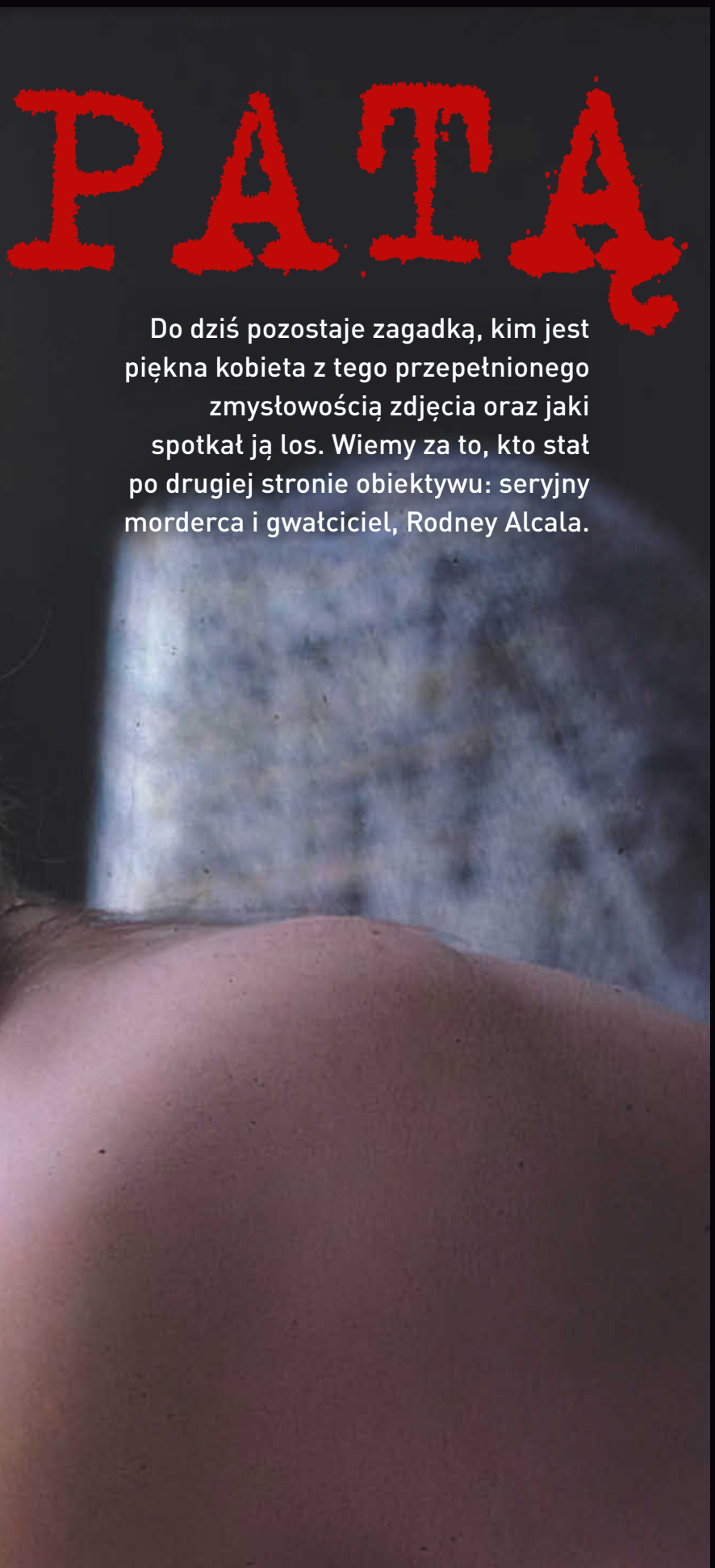
OKO W OKO

Randka z PSYCHO



PATĄ

Do dziś pozostaje zagadką, kim jest piękna kobieta z tego przepełnionego zmysłowością zdjęcia oraz jaki spotkał ją los. Wiemy za to, kto stał po drugiej stronie obiektywu: seryjny morderca i gwałciciel, Rodney Alcala.



W 2021 roku 78-letni Rodney Alcala zmarł w więzieniu stanowym w Kalifornii na zawał serca. Uniknął w ten sposób kary śmierci, na którą czekał od ponad 40 lat, po tym jak został w kilku procesach skazany za zamordowanie sześciu kobiet i 12-letniej dziewczynki oraz przestępstwa seksualne. Przypuszcza się jednak, że jego ofiar mogło być wielokrotnie więcej – być może nawet ponad 130. Czy jedną z nich była kobieta ze zdjęcia?

Rodney Alcala zabijał w latach 60. i 70. ubiegłego wieku. Wybierał nie tylko osoby dorosłe, ale także dzieci. Jego pierwsza ofiara, ośmioletnia Tali Shapiro, którą zwabił do domu, została przez niego zgwałcona i pobita metalowym prętem. Przeżyła wyłącznie dzięki interwencji przypadkowego świadka uprowadzenia. Sam oprawca uciekł. Od tej pory zaczął morderczy rajd po Stanach Zjednoczonych. Zwykle przed zabiciem swoich ofiar gwałcił je oraz torturował, dusząc i bijąc.

Napotkanym osobom podawał się za fotografa modowego. Był przystojny, czarujący i proponował wykonanie zdjęć – tak zwabiał swoje cele. W 1978 roku, w samym środku krwawej serii, pod fikcyjną tożsamością wystąpił w popularnym show telewizyjnym *The Dating Game* (którego polskim odpowiednikiem jest *Randka w ciemno*), gdzie został przedstawiony jako „odnoszący sukcesy fotograf". Alcala wygrał teleturniej, lecz do spotkania ostatecznie nie doszło. Zrezygnowała z niego kobieta, która go wybrała. Na żywo zrobił bowiem na niej wrażenie „niepokojąco dziwnego". To przeczucie prawdopodobnie uratowało jej życie.

Swoim ofiarom często robił pikantne zdjęcia. Tożsamości wielu kobiet uwiecznionych na fotografiach, m.in. na tej widocznej obok, do dziś nie udało się ustalić. Śledczy uważają, że niektóre z nich zamordował. W 2010 roku nowojorska policja udostępniła wykonane przez Alcalę zdjęcia ponad 100 osób, w większości kobiet, ale także dziewczynek, chłopców oraz kilku mężczyzn. Funkcjonariusze zwrócili się z prośbą o kontakt do wszystkich, którzy rozpoznają osoby uwiecznione przez „zabójcę z *Randki w ciemno*", jak nazwały go media. Wśród opublikowanych wizerunków zidentyfikowano kolejną prawdopodobną ofiarę mordercy – Christine Ruth Thornton, która zaginęła w 1977 roku. Jej ciało odnaleziono pięć lat później. W 2015 roku na fotografii rozpoznała ją siostra; testy DNA potwierdziły, że miała rację. Alcalę, który zrobił Christine to zdjęcie, oskarżono o zabójstwo, ale ze względu na stan zdrowia nie stanął przed sądem. ■

TEKST: Marcin Moneta ZDJĘCIE: domena publiczna

KRYMINALNA POLSKA

URODZEN MOR



Obudził ich przeszywający ból i seria ciosów nożem. Zanim zginęli, uświadomili sobie, że mordują ich ukochany syn oraz jego dziewczyna.

MORDERCY?



GENEZA ZŁA

Dlaczego dwoje nastolatków sięgnęło po noże, by nocą bez skrupułów zabić swoje ofiary? Dlaczego Kamil zdecydował się zaszlachtować własnych rodziców? Co działo się z jego psychiką nie tylko tamtej nocy, ale na długo przed nią – gdy zgodził się zamordować najbliższych? To są ciągle aktualne pytania. Zbrodnia w Rakowiskach do dziś jest przedmiotem analiz psychologów i kryminologów.

Morderstwo w Rakowiskach w nocy z 12 na 13 grudnia 2014 roku jest jedną z najbardziej wstrząsających zbrodni we współczesnej historii Polski. Dwójka osiemnastolatków, Kamil N. i Zuzanna M., z zimną krwią zaszlachtowała rodziców chłopaka. – *Dom spłynął krwią* – tak jeden ze śledczych skwitował to, co policjanci zastali w podmiejskiej willi. Nawet doświadczeni funkcjonariusze z trudem znosili makabryczne obrazy, z którymi przyszło im się zmierzyć.

„BEZCZELNIE MŁODA, BEZCZELNIE ZDOLNA"

Zbuntowana, nieprzewidywalna, inteligentna i z gigantycznym ego. Sama o sobie pisała w internecie: „bezczelnie młoda, bezczelnie zdolna". Zuzanna miała wszystko, by „zasłużyć" na miano nastoletniej femme fatale. Rówieśnicy się jej bali, a opowieści o jej wybrykach krążyły po całej Białej Podlaskiej. Dwa lata przed zbrodnią w Rakowiskach została oskarżona o obcowanie płciowe z małoletnią. Chodziło o intymną relację, jaką nawiązała z niespełna 15-letnią koleżanką. Początkowa przyjaźń przerodziła się w toksyczne uczucie. Starsza i silniejsza psychicznie Zuzanna miała pełną kontrolę nad młodszą dziewczyną. Częstowała też swoją kochankę marihuaną.

Zuzannę M. nie interesowały ograniczenia. Notorycznie wagarowała, znikała z domu na kilkudniowe wyjazdy po Polsce, popadała w konflikty z nauczycielami i rówieśnikami. Uważała się za wybitną, lepszą od reszty. >

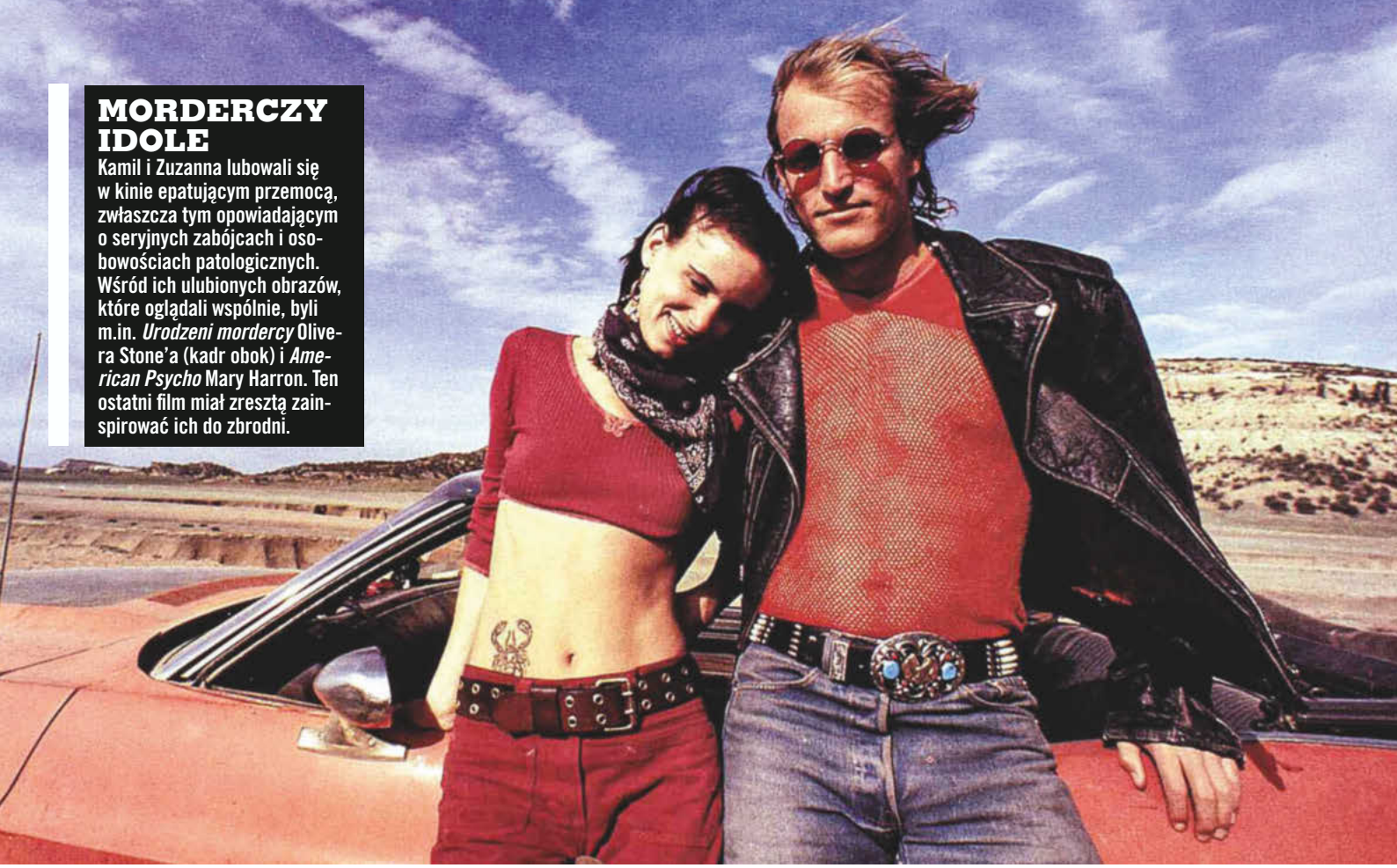


KRWAWA ŁAŹNIA

Nawet doświadczeni śledczy z trudem znosili widok, jaki zastali w domu rodziny N. Rozegrała się tam dramatyczna walka o życie, czego ślady w postaci plam i smug krwi były widoczne praktycznie wszędzie, nawet przy drzwiach wejściowych (zdj. powyżej). Oprawcy z wyjątkową zaciekłością dążyli do zabicia swoich ofiar. Zuzanna M. w pewnym momencie ugryzła ojca Kamila, gdy ten próbował wytrącić jej z ręki nóż. Później, na sali sądowej z kamienną twarzą słuchała opinii biegłych i zeznań policjantów. Przeprosiła na końcowym etapie procesu, jednak mało kto uwierzył w szczerość skruchy.

Pisała wiersze, wydała nawet tomik poezji – pod pseudonimem Maria Goniewicz. Na tę okoliczność udzieliła wywiadu lokalnym mediom. Cytowała Witkacego, sugerując, że otoczenie to nic niewarta „hołota umysłowa". Swoje media społecznościowe wypełniała niepokojącymi treściami: od smutnej, depresyjnej muzyki spod znaku Joy Division, aż po makabryczne grafiki przedstawiające podrzynanie gardła i kpiny z chrześcijaństwa. Nikt wówczas nie sądził, że to coś więcej niż poza... Zuzia pochodziła z inteligenckiej, ale rozbitej rodziny. Wychowywała się bez ojca. Ten wrócił do jej życia, dopiero gdy była nastolatką – lecz nie na





MORDERCZY IDOLE

Kamil i Zuzanna lubowali się w kinie epatującym przemocą, zwłaszcza tym opowiadającym o seryjnych zabójcach i osobowościach patologicznych. Wśród ich ulubionych obrazów, które oglądali wspólnie, byli m.in. *Urodzeni mordercy* Olivera Stone'a (kadr obok) i *American Psycho* Mary Harron. Ten ostatni film miał zresztą zainspirować ich do zbrodni.

długo. Tym razem zniknął na zawsze. Umarł. Dziewczyna mocno to przeżyła. Zaczęła pisać mroczne wiersze. Pojawiły się też konflikty z otoczeniem, używki, seks z małoletnią, aż w końcu Kamil – jej kolejna przystań.

DOBRY CHŁOPAK BYŁ

Syn oficera straży granicznej i nauczycielki języka rosyjskiego, jedynak – był typowym chłopcem z dobrego domu. Zawsze grzeczny, poukładany. Bezkonfliktowy. Nie widziano go nigdy pijanego, kłaniał się sąsiadom. W szkole nie sprawiał problemów. Był raczej wycofany.

To wszystko jednak zaczęło się gwałtownie zmieniać w klasie maturalnej. Imię tej zmiany brzmi: Zuzanna. Najpierw byli kumplami. Gdy zaproponowała nabitą lufkę, nie odmówił. Stopniowo ich znajomość stawała się coraz bardziej zażyła. Aż w końcu zostali parą. Od tej pory grzeczny chłopiec zmienił się niczym dr Jeckyll w pana Hyde'a. Do niedawna małomówny i taktowny – stał się pyskaty i pewny siebie. Zaczął urywać się ze szkoły. Wagary, najpierw sporadyczne, przeszły w rutynę.

Taki był wpływ Zuzanny – wszyscy, którzy ich znali, nie mieli wątpliwości, jak silnie oddziaływała na Kamila. To ona dominowała w ich związku, to ona wprowadzała go w narkotykowe i seksualne doznania. Zawsze zahukany i nieistotny, nagle poczuł się ważny. Przy niej był mocniejszą wersją siebie. Konwenanse, wymogi, które – jak tłumaczyła dziewczyna – tłamsiły go, mógł wreszcie odrzucić. Nie uświadamiał sobie jednak, że jest i druga strona tego medalu: bez niej znów „stawał się nikim". W tak ułożonej relacji jego samoocena zależała całkowicie od Zuzanny. Podziw, pożądanie, a przy tym... strach, że zostanie odtrącony – taka mieszanka okazała się niezwykle silnym środkiem uzależniającym.

PRAWIE TAK JAK W FILMACH

Zarwane lekcje spędzali razem na przyjemnościach cielesnych, odurzaniu się marihuaną i kinie. Zachwycali się obrazami pełnymi przemocy. Oglądali *Urodzonych morderców* Olivera Stone'a czy *American Psycho* – film na podstawie książki o amerykańskim finansiście, który seryjnie zabijał prostytutki.

Gdy absencja Kamila w szkole przekroczyła połowę godzin lekcyjnych, o sprawie dowiedzieli się rodzice. Był to dla nich szok. Co się stało z ich synem? Nie mogli tego zrozumieć. Były rozmowy, prośby i groźby, jednak on stał się innym człowiekiem: albo zimnym jak lód, albo bezczelnym i agresywnym. >





DOM ZBRODNI

Małżeństwo N. niedługo przed śmiercią przeprowadziło się wraz z synem do nowego domu (na zdj.) na podmiejskim osiedlu. Mordercy liczyli, że po zbrodni Kamil dostanie nieruchomość w spadku. Chcieli ją sprzedać i podróżować po świecie. Plan nie wypalił, nie tylko dlatego, że usłyszeli wyroki po 25 lat więzienia. Sąd uznał też, że młody mężczyzna jest niegodny dziedziczenia po rodzicach.

W końcu opiekunowie pojęli, kto stał za tą nagłą przemianą. Próby przekonania Kamila, by zerwał toksyczną znajomość, spełzły na niczym. Kiedy tylko nadarzała się okazja, pojawiał się u Zuzanny. Potrafił znikać na wiele dni.

Przygody, wyjazdy, narkotyki, seks i uczucie, że z nią może wszystko... Nastolatek przepadał, a rodzice z rozpaczą i bezsilnością obserwowali, jak ich dziecko się od nich oddala. Doszło nawet do tego, że ojciec chłopaka, mimo że pracował w Warszawie, codziennie wracał do domu na noc, by pilnować syna. Małżeństwo miało nadzieję, że toksyczna miłość wygaśnie, gdy przeprowadzą się z mieszkania w Białej Podlaskiej do willi w Rakowiskach. Nic z tego.

Pewnego wieczoru osiemnastolatkowie oglądali *American Psycho.* To wtedy narodził się pomysł – najpierw w postaci żartu. Obserwując, jak główny bohater zarzyna swoje ofiary, Zuzia rzuciła nagle, że to samo mogliby zrobić ze „starymi" Kamila. Rozwiązać sprawę niczym w filmie. Fantazja najpierw wywołała salwę śmiechu, ale wkrótce zaczęła wracać. W końcu przestała być fantazją, a stała się planem. Chłopak zrozumiał, że Zuzanna naprawdę chce to zrobić...

Nawet gdyby chciał, nie mógł zaprotestować. Słowa ukochanej miały tak wielką moc, że nie było go stać na sprzeciw. Poza tym podświadomie po prostu się jej obawiał. Bał się, że go porzuci, bał się jej gniewu, niełaski. Bez Zuzi był słaby. W końcu zaczęli rozmawiać o planie całkowicie otwarcie. Zuzanna wyobrażała sobie, że zabija ubrana w taki sam skafander, jaki miał Christian Bale. Tłumaczyła, że wykonanie „roboty" będzie ich „wyzwoleniem".

Każde tego typu zaklęcie działało jak hipnotyczna sugestia. Pod wpływem dziewczyny Kamil przetrząsał internet, by znaleźć kombinezony takie jak w *American Psycho*. Miało być prawie tak jak w filmach.

PIĘĆ TYSIĘCY ZA KURS

W grudniu 2014 roku Kamil zapowiedział rodzicom, że jedzie wraz z Zuzanną na wieczorek poetycki do Krakowa. Aby nie zadrażniać i tak już napiętej sytuacji, zgodzili się na tę podróż.

Ta literacka impreza miała dać im alibi. W pierwszym tygodniu grudnia Zuzanna zadzwoniła do znajomego z Poznania – Marcina S. Poprosiła go o transport do stolicy Małopolski. Tłumaczyła, że musi dojechać na spotkanie poetów. Zaoferowała aż pięć tysięcy złotych. Kolega, trochę zaskoczony finansowym rozmachem propozycji, zgodził się.

Kamil i Zuzanna najpierw wyruszyli sami do Warszawy. Tam kupili lateksowe rękawice, szukali też iden-

tycznego kombinezonu, jaki miał Christian Bale w *American Psycho*. Ostatecznie musieli zadowolić się dwoma „zwyczajnymi". Dziewczyna na wycieczkę zabrała także dwa noże kuchenne.

Z Warszawy odebrał ich Marcin S. Przyjechał ze swoją dziewczyną – Lindą. Po kilkudziesięciu kilometrach Zuzanna nagle zrobiła zaskoczoną minę. Z udawanym poruszeniem oznajmiła, że muszą wrócić do Rakowisk, gdyż zapomniała laptopa. Został w domu Kamila, a przecież miała na dysku swoje wiersze. Znajomych zdziwiła zmiana planów, ale wykonali jej polecenie. Za całą podróż obiecała naprawdę spore pieniądze, więc rachunek nadal wychodził na plus. Spod Warszawy ruszyli zatem na Podlasie.

Zuzanna planowała zapłacić za podróż pieniędzmi zrabowanymi z domu Kamila – po zamordowaniu jego rodziców. Była przekonana, że prawda nie wyjdzie na jaw. Willę sprzedadzą, a za uzyskaną kwotę będą żyć w luksusie za granicą.

BEZ LITOŚCI

Późną nocą z 12 na 13 grudnia 2014 roku samochód z czwórką młodych ludzi zatrzymuje się w sąsiedztwie domu Kamila w Rakowiskach. Zuzanna i Kamil wychodzą – jak informują – po laptopa. Znajomym każą czekać. Następnie, gdy znikają z ich pola widzenia, przebierają się w kombinezony. Wyciągają noże, a tuż przed domem ściągają buty, by nie narobić hałasu. Chłopak wchodzi pierwszy. Wyprowadza na dwór psa, by – jak potem zezna – nie przeszkadzał w robocie.

Następnie oboje wchodzą do budynku. Wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Uśmiechają się do siebie. Powoli uchylają drzwi do sypialni rodziców. Ci twardo śpią. Nie reagują, gdy dwójka postaci w kombinezonach i z nożami w dłoniach staje po obu stronach łóżka. Kamil i Zuzanna jeszcze raz patrzą na siebie, po czym bezgłośnie odliczają do trzech.



ZAKOCHANY NAŚLADOWCA?

Łukasz W. (na zdj.) miał zaledwie 14 lat, gdy w 2020 roku zamordował w Chełmie swoją macochę oraz ciężko ranił 18-letniego przyrodniego brata. Kobiecie zadał dziewięć ciosów nożem, natomiast jej synowi wymierzył tak mocne uderzenie młotkiem, że pękła mu czaszka. Sądząc, że nie żyje, wyszedł z domu, by zabijać dalej. Wszedł do wypełnionego ludźmi domu kultury, ale prawdopodobnie zabrakło mu odwagi – i uciekł. Wezwana policja aresztowała go kilka ulic dalej. Nastolatek fascynował się młodocianymi mordercami, m.in. sprawcami zbrodni w szkole średniej w Columbine w USA, gdzie dwóch uczniów zastrzeliło 13 osób, a 20 raniło. Największą idolką Łukasza W. była jednak Zuzanna M., której się wzorował i z którą próbował się nawet kontaktować. Kilka godzin przed atakiem napisał na Facebooku „Pora zabijać ty szmato pijacka", co było nawiązaniem do internetowego wpisu dziewczyny dokonanego tuż po morderstwie.

Na śpiących nagle sypie się grad ciosów. Trafiają w tułów, głowę, szyję, ręce. Ból budzi mężczyznę i kobietę. Cierpią. Są przerażeni. Wiedzą, że zaraz zginą. Ale najgorsze dociera do nich dopiero po chwili, gdy z mroku wyłaniają się sylwetki ludzi, w tym rysy twarzy Kamila, ich ukochanego syna. Później śledczy potwierdzili tę przerażającą okoliczność: zabijanie trwało długo. Ofiary musiały wiedzieć, kto ich morduje...

Mimo wielu ran do samego końca próbowali walczyć. Ojcu nastolatka udało się wytrącić nóż z ręki Zuzanny. W odpowiedzi ugryzła go w dłoń, a Kamil wbił mu ostrze w plecy. Jego matka próbowała uciekać. >

Mroczna triada

O ocenę relacji nastoletnich morderców poprosiliśmy psycholożkę Katarzynę Pankiewicz



Z JEDNEJ STRONY SILNA KOBIECA OSOBOWOŚĆ, Z DRUGIEJ NIEŚMIAŁY „DOBRY CHŁOPAK". CO MÓWI O SPRAWCACH SAM UKŁAD ICH RELACJI?

Związek miał schemat dominacji i zależności, bardzo charakterystyczny dla zbrodni zbiorowych. Zuzanna przejmowała rolę liderki i narzucała narrację usprawiedliwiającą przemoc. Kamil funkcjonował w roli podporządkowanej, z dużą zależnością emocjonalną i niską dojrzałością moralną.

JAK MOŻNA OPISAĆ OSOBOWOŚĆ ZUZANNY?

Widać silny egocentryzm, skupienie na własnych potrzebach, dystans emocjonalny oraz sprawność w manipulowaniu innymi. Ten zestaw cech łączy elementy narcyzmu, makiawelizmu i dyssocjalności, co daje obraz tzw. mrocznej triady. Narcyzm oznacza poczucie uprzywilejowania i wyższości, makiawelizm – skłonność do używania ludzi jako narzędzi, a komponent psychopatyczny – brak empatii oraz wstydu i winy.

TO STĄD U NIEJ JĘZYK „WYZWOLENIA" PO ZBRODNI?

Tak – to ów komponent psychopatyczny. Taki język pasuje do sposobu widzenia świata jako przeszkody dla własnej woli. „Wyzwolenie" obejmuje także odejście od reguł moralnych, gdy ktoś traktuje normy jako blokadę.

JAK WYGLĄDA ROLA KAMILA W TAKIM UKŁADZIE?

Kamil prezentuje cechy osobowości zależnej: potrzebę oparcia się na silniejszej osobie, trudność w samodzielnym podejmowaniu decyzji i chwiejność emocjonalną. Udział w przemocy bywa połączony z ulgą oraz rozładowaniem frustracji. To pozostawia jednak oczywiście pełną odpowiedzialność za współsprawstwo zbrodni.

Czołgając się, dotarła do drzwi. Jednak tam ją dopadł. Nachylił się i przejechał ostrzem po szyi. Powtórzył tę czynność jeszcze dwa razy. Później twierdził, że poderżnął mamie gardło, by oszczędzić jej dalszych cierpień.

W EKSTAZIE ZŁA

Po godzinie Kamil i Zuzanna wrócili do samochodu, ciężko przy tym dysząc. Sprawiali wrażenie rozdygotanych. W pośpiechu zapomnieli butów, nie zmyli dokładnie krwi. Mieli poplamione ubrania. Spieszyło im się. Przy czym Zuzia wyglądała kwitnąco – jak osoba nieposiadająca się ze szczęścia. Dwójka przyjaciół była zdumiona długą nieobecnością pary, a także ich wyglądem. Jednak najdziwniejsze miało dopiero nadejść. Gdy ruszyli do Krakowa, Zuzannie rozwiązał się język. Bez ogródek zaczęła opowiadać o zbrodni, którą właśnie popełnili. Marcin S. i jego dziewczyna nie wiedzieli, jak zareagować. Byli zszokowani. Później utrzymywali, iż sądzili, że to wszystko konfabulacje, że Zuzanna zmyśla.

Nad ranem dwójka morderców dotarła do Krakowa. Zjawili się u znajomej, u której mieli się zatrzymać. Ich wygląd i nienaturalne pobudzenie wzbudziło jej podejrzenia. Zuzanna zachowywała się tak, jakby znajdowała się w narkotycznej ekstazie. Koleżankę próbowali okłamać, że po drodze zostali napadnięci – stąd brak butów i zakrwawione ubrania. Dziewczyna jednak zaczęła łączyć kropki. Dostała SMS-a od wspólnego znajomego jej i Kamila z wiadomością, o której huczały już media: w domu w Rakowiskach znaleziono ciała dwóch zamordowanych osób. Przyjaciółce włosy stanęły dęba. Poprosiła kolegę, by dyskretnie powiadomił policję.

„SCENERIA GORSZA NIŻ W HORRORACH GORE"

Nad ranem 13 grudnia 2014 roku sąsiad rodziny N. zauważył, że drzwi

TEKST: Marcin Moneta
ZDJĘCIA: Wojtek Jargiło/EastNews (2); Forumgwiazd/Forum; Jarek Górny/Newspix; Wojciech Pacewicz/PAP (2); Picsel; Adobe Stock (5); Shutterstock; kadr z *Opowiem ci o zbrodni* telewizji Crime+Investigation Polsat





ZAKLĘTY KRĄG ZBRODNI?

Młodocianych morderców z Rakowisk zainspirowały filmy o zabójcach – a ich zabójstwo zainspirowało filmowców do stworzenia obrazu o nich... Jeden z odcinków serii dokumentalnej *Opowiem ci o zbrodni* na kanale Crime+Investigation Polsat poświęcony został sprawie morderstwa w Rakowiskach (kadr powyżej). W postać Zuzanny M. wcieliła się Julia Wieniawa, Kamila zagrał Oskar Rybaczek. Jaki efekt jednak daje pokazywanie na ekranie okrutnych czynów nastolatków? Prewencyjny, a może promujący w oczach zaburzonych jednostek pokroju Łukasza W.? Od takich pytań nie jest wolne kino kryminalne, także dokumentalne...

ich domu stoją otworem. Powiadomił policję, sądząc, że może doszło do napadu. Po przybyciu funkcjonariuszy okazało się, że prawda jest znacznie bardziej przerażająca. Wewnątrz zastali tak makabryczne obrazy, że – jak później mówili mediom – nawet horrory gore to przy tym pestka. Plamy, smugi i rozbryzgi krwi znajdowały się dosłownie wszędzie: na ścianach, podłodze, drzwiach, poręczach, firankach. Dwoje zaszlachtowanych ludzi umarło z wyrazami przerażenia i zdziwienia na twarzach.

W pierwszych chwilach funkcjonariusze założyli, że może była to zemsta za aktywność zawodową strażnika granicznego, lecz wkrótce wszystko się wyjaśniło. Policjanci z Krakowa donieśli o miejscu pobytu Kamila i jego dziewczyny oraz o ich podejrzanym wyglądzie, o czym poinformowała znajoma pary nastolatków.

– *Tylko trzy godziny cieszyliśmy się wolnością* – takie słowa Zuzanna M. wypowiedziała do policjantów chwilę po zatrzymaniu. Nie płakała, nie stawiała oporu, wręcz przeciwnie – rozsadzało ją zadowolenie. Kamil? Bardzo szybko wrócił do „starego" siebie. Stał się małomówny, wycofany, bierny. Oboje przyznali się do zbrodni.

Na początku nie okazywali skruchy. Zuzanna nie kryła świetnego nastroju. Przyznała, że „z każdym ciosem czuła się coraz bardziej podniecona, szczęśliwsza". W trakcie procesu jej doskonały nastrój prysł. Nastoletni mordercy przepraszali i ronili łzy. Na sali sądowej nie było też widać śladu po ich miłości. Adwokaci obojga zwalali winę na drugą stronę. Ostatecznie nie miało znaczenia, kto kogo zmanipulował. Biegli psycholodzy stwierdzili, że Kamil i Zuzanna działali świadomie. Rozstrzyganie, kto był narzędziem, a kto inicjatorem, nie wpłynęło na wyrok – każde z nich zostało skazane na 25 lat więzienia. ■

JAK POPEŁNIĆ ZBRODNIĘ DOSKONAŁĄ?

Dzięki postępowi naukowemu śledczy dysponują coraz lepszymi metodami łapania przestępców. Żadna z nich nie jest jednak idealna. Na kolejnych stronach prezentujemy „antyporadnik mordercy", w którym sprawdzamy, czy da się oszukać najnowsze zdobycze kryminalistyki.



DLACZEGO ZABIJAMY?

Psycholog ewolucyjny prof. David Buss zauważył, że „morderstwo, niczym zdjęcie rentgenowskie, pozwala nam zajrzeć w głąb natury ludzkiej. Obnaża problemy, które mają ogromne znaczenie dla ludzi na całym świecie". Wśród spraw, za które od zawsze byliśmy gotowi zabijać i umierać, wymieniał: przetrwanie, osiągnięcie wysokiego statusu społecznego, obronę honoru, zdobycie atrakcyjnego partnera, lojalność kochanka, pozyskanie wiernych sprzymierzeńców, ochronę dzieci oraz ich sukcesy.

Alicja Cesarz ze Świętochłowic miała 33 lata, gdy 21 listopada 2007 roku zaginęła bez śladu. Rodzicom powiedziała, że idzie spotkać się z byłym mężem. Kiedy nie wróciła do domu, a jej telefon milczał, zaniepokojeni zawiadomili policję. Rozpoczęto poszukiwania. Podejrzenia szybko padły na Adama Ł., z którym kobieta rozwiodła się kilka miesięcy wcześniej. Śledczy odkryli, że jego komórka łączyła się z nadajnikami przy pobliskich bankomatach, tymczasem z konta Alicji zniknęło 5000 zł. Pieniądze znaleziono później w piwnicy, w zamurowanym schowku. W trakcie zatrzymania mężczyzna miał też ze sobą dowód wypłaty, ale... zjadł go przy policjantach.

Nie była to jedyna próba zamaskowania śladów zbrodni przez zabójcę. Ojciec ofiary wspominał: – *Spotkałem się z nim w mieszkaniu na osiedlu Irys w Chorzowie, gdzie mieszkali razem, jeszcze za czasów małżeństwa. Stało od kilku miesięcy puste, bez mebli, nie było nawet podłączonej wody. Dziwnym trafem w listopadzie 2007 roku lśniło. Podłoga była wyszorowana. On ją dokładnie wymył po zabójstwie. To mieszkanie było miejscem zbrodni*. Po procesie poszlakowym – ciała ekszony, które miał spakować do walizki i wywieźć, do dziś nie odnaleziono – Adam Ł. został skazany na 25 lat pozbawienia wolności.

Ale w tej sprawie był jeszcze jeden mroczny zwrot. W toku śledztwa wyszło na jaw, że Alicja nie była jego pierwszą ofiarą. W 1991 roku z zimną krwią zamordował swoją 19-letnią dziewczynę, Ilonę Miszczyńską. Była w czwartym miesiącu ciąży. Zwłoki ukrył w studzience kanalizacyjnej. I choć policjanci podejrzewali partnera nastolatki, nie znaleźli dowodów jego winy: niemal udało mu się popełnić zbrodnię idealną. Został pociągnięty do odpowiedzialności za śmierć Iwony dopiero prawie dwie dekady później, przy okazji postępowania w sprawie Alicji. Pogrążyła go kochanka, która zeznała, że Adam przyznał jej się do obu morderstw.

„Motyw, ciało i narzędzie zbrodni – to są trzy święte graale każdego śledztwa w sprawie zabójstwa”

PAWEŁ S., pracownik operacyjny policji z 20-letnim stażem



PIONIER PROFILOWANIA

Jednym z pierwszych profilów nieznanego sprawcy był ten sporządzony na potrzeby śledztwa dotyczącego Kuby Rozpruwacza przez doktora Thomasa Bonda po autopsji dwóch ofiar seryjnego mordercy, który w 1888 roku terroryzował Londyn. Współpracujący z policją chirurg na prośbę Scotland Yardu scharakteryzował winnego bestialskich zbrodni na prostytutkach jako mężczyznę w średnim wieku, na co dzień skrytego samotnika, ubranego schludnie (prawdopodobnie w ciemny płaszcz, który pozwalał na ukrycie śladów krwi) i budzącego zaufanie. W przeciwieństwie do wielu mu współczesnych Bond uważał, że morderca nie miał wykształcenia medycznego, a zbrodnie popełniał powodowany seksualną manią. Co ciekawe, profil przygotowany sto lat później przez legendarnego Johna Douglasa z FBI mocno się różnił. Agent uznał, że sprawca pochodził z niższej klasy społecznej, miał dominującą matkę, najpewniej alkoholiczkę, i słabego, wycofanego ojca, pracował w zawodzie niewymagającym kwalifikacji (jak rzeźnik lub asystent lekarza sądowego) i mieszkał blisko miejsc zbrodni. Do zabijania popychała go nienawiść, jaką czuł względem kobiet. Ponadto cierpiał na jakiś defekt, np. utykał lub się jąkał, co wpędzało go w kompleksy w relacjach damsko-męskich.



TYPOWY POLSKI ZABÓJCA

Specjalistka w zakresie kryminalistyki i kryminologii prof. Monika Całkiewicz na podstawie 130 spraw karnych zakończonych wydaniem prawomocnego wyroku skazującego przed Sądem Okręgowym w Warszawie opracowała profil typowego polskiego zabójcy: zabija pojedynczo (seryjni mordercy są w naszym kraju rzadkością), na ogół spontanicznie, pod wpływem impulsu i emocji związanych z interakcją z ofiarą, często pod wpływem alkoholu. Sprawca i ofiara zazwyczaj znają się przed zdarzeniem, a miejsce zbrodni (przeważnie pomieszczenie) jest tożsame z tym, w którym doszło do konfliktu z pokrzywdzonym. Niemal we wszystkich przypadkach winni pozostawiają zwłoki tam, gdzie dokonali mordu. Najczęściej wykorzystywanym narzędziem jest nóż, w dalszej kolejności narzędzia ostrokończyste i tępokrawędziste; po broń palną polscy zabójcy sięgają rzadko.

„MOŻNA SIĘ TAK PRZYGOTOWAĆ, ŻEBY NIE DAŁO SIĘ WYKRYĆ PRZESTĘPSTWA"

Według oficjalnych danych w ubiegłym roku popełniono w Polsce 505 zabójstw. W 502 przypadkach śledczym udało się wykryć sprawców – to aż 99,4% skuteczności! Trzeba przyznać, że te statystyki prezentują się imponująco. Większość spraw jest zamykana niemal natychmiast, nierzadko dzięki temu, że winni... sami zgłaszają się na policję. Działania operacyjne ułatwia funkcjonariuszom także fakt, iż do zdecydowanej większości najpoważniejszych zbrodni w naszym kraju dochodzi w afekcie lub (a często i) pod wpływem alkoholu. Odurzony, rozemocjonowany zabójca raczej nie myśli o zacieraniu śladów.

Ale co z trzema niewyjaśnionymi mordami? – *Mało jest w Polsce zabójstw, które pozostają niewykryte. Zazwyczaj dzieje się tak dlatego, że osoby prowadzące śledztwo nie dysponowały na miejscu przestępstwa odpowiednim sprzętem, nie miały doświadczenia albo z innego powodu nie zebrały śladów* – mówi w rozmowie ze Światem Wiedzy Paweł S. [nazwisko do wiadomości redakcji], pracownik operacyjny policji z 20-letnim stażem. Ale dodaje przy tym: – *Można się jednak tak przygotować, żeby przy obecnym sposobie działania polskich służb nie dało się wykryć przestępstwa. Jeżeli sprawca doskonale zna nowoczesne techniki śledcze, dokładnie pozna rozkład dnia ofiary, ale absolutnie nie będzie się z nią kontaktować, wybierze dogodne miejsce i narzędzie, a potem skutecznie pozbędzie się ciała i przy tym wszystkim nie da się ponieść emocjom – wtedy taka sprawa jest naprawdę bardzo trudna do wyjaśnienia.*

Bardzo trudna, ale czy niemożliwa? Współczesna kryminalistyka dysponuje niezwykle czułymi i zaawansowanymi narzędziami. Od sekwenatorów DNA, pozwalających na testowanie nawet niewielkich, zdegenerowanych próbek, przez analizę izotopową i badanie mikrobiomu, zdradzające, gdzie bywaliśmy, co jedliśmy i jakie bakterie nosimy na skórze, po nowoczesne technologie i algorytmy sztucznej inteligencji, które tropią nas po cyfrowych śladach...

Gdzie w tym skomplikowanym systemie znajdują się luki? Jak wykorzystują je przestępcy – i czy faktycznie mogą dzięki temu uniknąć sprawiedliwości? A może zbrodnie doskonałe istnieją już tylko na Netfliksie i w powieściach kryminalnych? >





NIEMI ŚWIADKOWIE

– *Nie ma zbrodni bez śladów* – mówi kryminalistyk prof. Piotr Girdwoyń z Uniwersytetu Warszawskiego. Na miejscu przestępstwa zawsze pozostają dziesiątki wskazówek. Plamy krwi pozwalają zrekonstruować, gdzie znajdowała się ofiara i napastnik, ile ciosów zadano oraz jakiego narzędzia użyto. Odcisk podeszwy buta staje się dla eksperta od traseologii „podpisem" sprawcy – zdradza nie tylko rozmiar, rodzaj czy markę obuwia, ale też umożliwia oszacowanie wagi i wzrostu zabójcy. Ba, nawet jeśli założyłby cudze adidasy, chcąc zmylić detektywów, to raczej mu się to nie uda: sposób, w jaki ciało naciska na podłoże podczas ruchu, jest indywidualny i niezwykle trudny do sfałszowania.

JAK KRWAWA JATKA POMAGA ZABÓJCY?

Nie da się popełnić zbrodni doskonałej, nie znając narzędzi, którymi posługują się eksperci od kryminalistyki. O wielu z nich słyszał każdy z nas. „Mówiące" pociski (balistyka), „podpisy" zostawiane przez nasze palce (daktyloskopia) lub tryskającą krew ofiary (analiza plam krwawych), ślady biologiczne i fizyczne zabezpieczone na miejscu popełnienia przestępstwa (m.in. traseologia, czyli nauka o śladach stóp, kończyn zwierząt oraz kół pojazdów, czy mechanoskopia, a więc badanie narzędzi użytych przez sprawcę) – to od dekad złoty standard pracy śledczej funkcjonariuszy. I bardzo skuteczny.

Odciski palców z unikatowym dla każdego człowieka układem linii papilarnych do dziś są jednym z najistotniejszych dowodów w dochodzeniach. „Gadatliwa" potrafi być także krew. – *Wyobraźmy sobie taką sytuację: wchodzimy do mieszkania i na wysokości 175 centymetrów widzimy rozbryzg stożkowy krwi. Na podstawie rodzaju tego rozbryzgu jesteśmy w stanie z bardzo dużą dokładnością stwierdzić, skąd płynęła ta krew i pod jakim kątem zostało zadane cięcie. A to pozwala określić wzrost sprawcy, jego masę, a nawet to, którą ręką dokonał zbrodni* – wyjaśnia policjant Paweł S. Samo wytarcie plam nie wystarczy: za pomocą fluorescencyjnych substancji takich jak luminol czy heksagon technicy są w stanie przy użyciu światła ultrafioletowego ujawnić niewidoczne gołym okiem ślady przestępstwa.

I nie pomoże tu popularny wybielacz do tkanin ani farba: jak wykazały badania, luminol rozświetla się nie tylko na wyszorowanych silnymi środkami wybielającymi powierzchniach, ale nawet pod ośmioma (!) warstwami farby na bazie wody bądź rozpuszczalnika – oraz w miejscach wyczyszczonych wybielaczem, a następnie pomalowanych.

Co zatem może zadziałać na korzyść przestępcy? Zamienienie miejsca zbrodni w krwawą jatkę. Luminol reaguje bowiem także z krwią zwierzęcą, dzięki której można zamaskować ślady oryginalnej zbrodni. Nie jest to jednak perfekcyjna metoda, ponieważ późniejsze analizy i tak wykażą, które plamy pochodziły od człowieka. Alternatywnie pozostaje – wzorem serialowego Dextera – stworzyć krwioodporne środowisko za pomocą naprawdę dużej ilości folii...

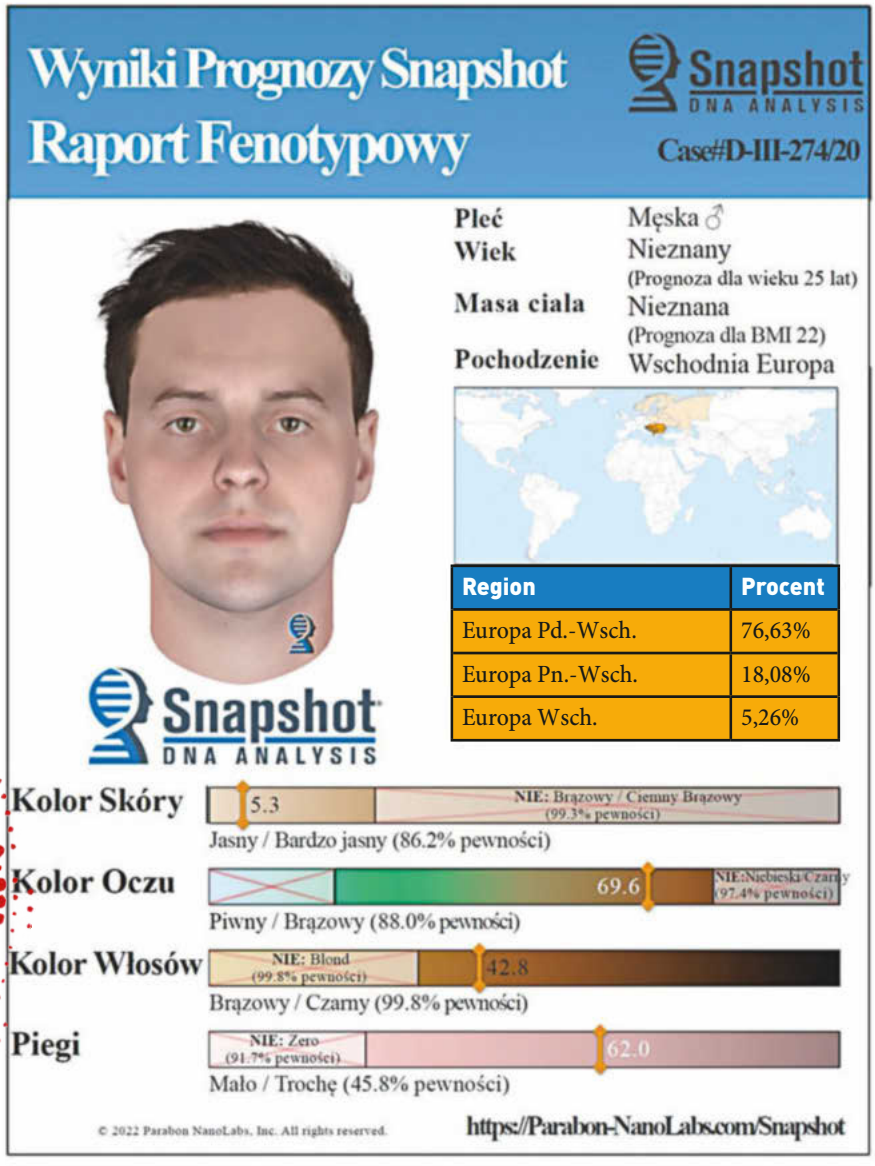
ARCHEOLOGIA MORDERSTWA

Posprzątanie po zabójstwie często nie jest też w stanie zmylić specjalnie wyszkolonych psów. Potrafią one podjąć trop podejrzanego nawet kilka–kilkanaście dni po zbrodni, również w zatłoczonym lub mocno uczęszczanym miejscu, a próby zamaskowania zapachu np. za pomocą chemikaliów także są dla śledczych informacją (ich analizą zajmuje się tzw. osmologia). Przekonał się o tym brutalny morderca ze Szczecina, Radosław Warawko, który w kwietniu 2011 roku dla spadku zabił matkę, ojczyma i przyrodniego brata, a później usiłował upozorować napad rabunkowy i rozlał w całym domu zużyty olej, aby zmylić psy tropiące. Prokuratura nie miała problemu z udowodnieniem mu winy – resztę życia spędzi w więzieniu. Na korzyść sprawcy działa jedynie... czas. Jeśli upłynie go odpowiednio dużo od zbrodni, zapach się ulotni.

Dzięki postępowi naukowemu do wspomnianych tradycyjnych technik dołączają także bardziej zaawansowane metody, takie jak analiza DNA (obecna technologia pozwala na badanie nawet mikroskopijnych śladów oraz próbek zdegenerowanych choćby przez użycie wybielacza). Trwają też prace nad wykorzystaniem w kryminalistyce analizy mikrobiomu skóry. Każdy z nas ma bowiem własny, niepowtarzalny „bakteryjny odcisk palca" (charakterystyczne dla danej osoby zbiorowisko bakterii), który może doprowadzić policjantów do sprawcy. Z kolei mikrobiomy glebowe, czyli np. pozostałości ziemi na podeszwach podejrzanego, mogą pomagać w typowaniu miejsca ukrycia zwłok, a te w martwym ciele – w szacowaniu czasu zgonu. >

„Cały czas zostawiamy ślady w miejscu, w którym się znajdujemy. To nie tylko włosy, ale też np. ślady zostawione przez podeszwy. (...) Nie ma zbrodni bez śladów"

prof. PIOTR GIRDWOYŃ, prawnik z Katedry Kryminalistyki Uniwersytetu Warszawskiego



PORTRET MORDERCY

Za pomocą fenotypowania DNA policjanci są w stanie odtworzyć prawdopodobny wizerunek sprawcy na podstawie próbek materiału genetycznego – taki portret sporządzono m.in. przy okazji głośnego zabójstwa w parku Na Zdrowiu w Łodzi w 2020 roku (po prawej). Eksperci z amerykańskiej firmy Parabon ustalili, że morderca ma jasną skórę z niewielką ilością piegów, brązowe lub piwne oczy i ciemne włosy oraz pochodzi najpewniej z Europy Południowo-Wschodniej. Póki co nie udało się go jednak odnaleźć. Należy przy tym pamiętać, że na podstawie DNA nie da się przewidzieć zmian w wyglądzie spowodowanych dietą, stosowaniem używek czy posiadaniem blizn.

– Archeolodzy szukają śladów dawnego życia, wykorzystując relacje, dokumenty i znalezione „skorupy". Kryminalistycy znajdujący się na miejscu zdarzenia robią dokładnie to samo, tylko nie w odniesieniu do wydarzeń sprzed tysięcy lat, ale tego, co wydarzyło się przedwczoraj – podsumowuje prof. Piotr Girdwoyń z Katedry Kryminalistyki Uniwersytetu Warszawskiego. I choć używanie analiz drobnoustrojów do ścigania zabójców stanowi póki co pieśń przyszłości, to kiedy ta metoda wejdzie do powszechnego użycia, mordercy planujący zbrodnię doskonałą będą mieli jeszcze twardszy orzech do zgryzienia.

JAK MYŚLI MORDERCA?

„Szukajcie grubego mężczyzny w średnim wieku, urodzonego za granicą, wyznania rzymskokatolickiego, nieżonatego, mieszkającego z bratem lub siostrą. Kiedy go złapiecie, będzie ubrany w dwurzędowy garnitur. I będzie miał zapięte wszystkie guziki" – taką instrukcję pod koniec 1956 roku podsunął nowojorski psychiatra James Brussel policjantom poszukującym „Szalonego Zamachowca", który dokonał serii ataków terrorystycznych przy użyciu bomb w latach 40. i 50. XX wieku. Profil okazał się wręcz szokująco trafny.

Mimo to, gdy dwie dekady później w FBI powstała jednostka specjalizująca się w analizowaniu tzw. śladów behawioralnych (czyli zachowań sprawcy), wiele osób pukało się w głowę. Niesłusznie. Wprawdzie faktyczne profilowanie ma niewiele wspólnego z tym, co prezentują nam seriale – profilerzy nie wskazują bezpośrednio winnego – ale określenie modus operandi, czyli charakterystycznych działań sprawcy, jego „wizytówki" pozostawianej na miejscu zdarzenia, może być dla śledczych przydatnym narzędziem, które ukierunkuje działania zespołu operacyjnego.

Zgodnie z przyjętym przez FBI schematem tworzenia profilu nieznanego sprawcy zabójstwa po zgromadzeniu i sklasyfikowaniu danych na temat zdarzenia następuje proces rekonstrukcji przestępstwa. To kluczowy etap: właśnie wtedy profiler analizuje motywy i sposób działania winnego, a także zachowania ofiary (tzw. dane wiktymologiczne) i na tej podstawie opracowuje profil. Profilowanie zakłada pew-



GENU NIE WYDŁUBIESZ

Wystarczy kropla krwi, włos z cebulką lub kilka komórek naskórka bądź nabłonka z jamy ustnej pozostawionych na miejscu przestępstwa, by z praktycznie stuprocentową pewnością udowodnić podejrzanemu winę. Wszystko za sprawą DNA. *– Rozwój nowoczesnych metod identyfikacji genetycznej człowieka rozpoczął się z chwilą odkrycia markerów STR. Ten typ markera idealnie wpisuje się w zapotrzebowanie kryminalistyki. Markery te nie kodują żadnych cech fenotypowych widzialnych na zewnątrz, natomiast idealnie różnicują osoby w populacji ludzkiej* – tłumaczyła w rozmowie z PAP Agnieszka Tatara-Miśkiewicz z Laboratorium Kryminalistycznego Komendy Stołecznej Policji.



TWARDE DOWODY

Tkanek miękkich stosunkowo łatwo się pozbyć, lecz szkielet ofiary nawet po wielu latach jest w stanie dużo powiedzieć śledczym. Kości, które trafiają do antropologów sądowych, są obgotowywane chemicznie, a następnie badane. Na ich podstawie można określić nie tylko płeć i wiek poszkodowanego, ale w wielu przypadkach także np. jaką metodą zabójstwa posłużył się sprawca. – *Poszczególne narzędzia zostawiają charakterystyczne rany. Młotek na kości zostawi kwadratowy ślad, kamień owalny, a ostroga siekiery klinowaty* – wyjaśnia Andrzej Czubak z Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie. Po uszkodzeniach widać również, czy ofiara była duszona lub krępowana.

„Kości to księga, z której można wiele wyczytać. Na dobrą sprawę są mi w stanie powiedzieć więcej niż żywa osoba”

ANDRZEJ CZUBAK,
antropolog sądowy z Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie

ną powtarzalność i logikę działań mordercy. Jeśli zatem ten chciałby świadomie przechytrzyć profilera, może próbować zaburzyć tę logikę – lub zniekształcić dowody.

Jak? Choćby przez zainscenizowanie miejsca zbrodni tak, by upozorować inny motyw, np. rabunkowy zamiast zazdrości – jak miało to miejsce w przypadku zabójstwa Joanny S. z Bydgoszczy, zamordowanej w 1994 roku przez zakochanego w niej bez wzajemności Sławomira G. (mężczyzna został skazany dopiero dwie dekady po zbrodni). Sprawca może też tuszować charakter zdarzenia: w policyjnych kartotekach nie brak przypadków zabójców usiłujących przekonać śledczych, że ich ofiara uległa nieszczęśliwemu wypadkowi lub popełniła samobójstwo (w ten sposób chciał „wymigać się” od odpowiedzialności Zbigniew P. z Borowa, który w kwietniu ubiegłego roku udusił swojego współlokatora, a następnie próbował upozorować, że mężczyzna się powiesił).

Dużym utrudnieniem dla osoby odtwarzającej modus operandi jest też jego zmienność lub brak (używanie innych narzędzi zbrodni, rezygnacja z konkretnego typu ofiary). Inteligentny, zorganizowany zabójca może także celowo zachowywać się w sposób chaotyczny, symulując niższe IQ lub wręcz zaburzenia psychiczne. Przez lata m.in. tą metodą wodził policję za nos Dennis Rader, amerykański seryjny morderca znany jako BTK (Bind, Torture, Kill – Skrępować, Torturować, Zabić) lub Dusiciel z Wichity. Choć na ogół działał metodycznie, niekiedy pozostawiał miejsca zbrodni wyglądające na dzieło kogoś zdezorganizowanego, by śledczy uznali go za niedbałego bądź ograniczonego intelektualnie.

W praktyce takie maskowanie jest jednak bardzo trudne. Ostatecznie, jak podkreśla psycholog śledczy dr Bogdan Lach, należący do czołówki profilerów w Polsce, sprawca, czy tego chce, czy nie, pozostawia ślady swojego zachowania: – *Obojętne, czy podejmuje świadome inscenizacje, czy zaniecha jakichkolwiek działań – to zawsze coś mówi o jego cechach*. A dla eksperta w dziedzinie profilowania nawet brak wskazówek może być wskazówką, która doprowadzi do schwytania mordercy.

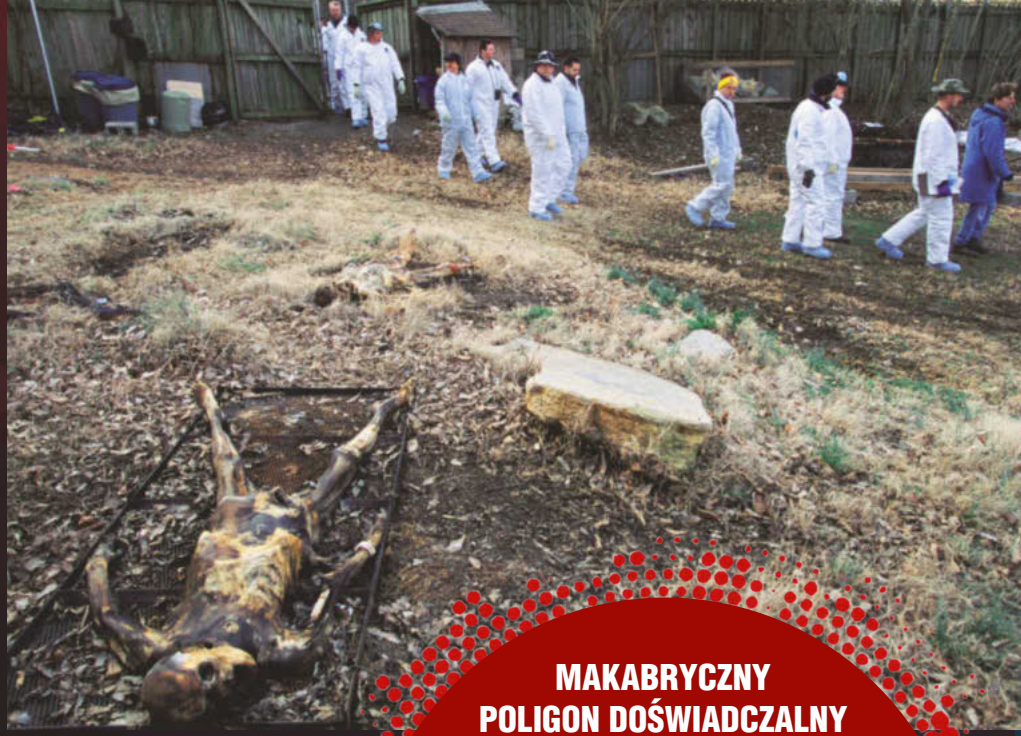
>

O CZYM MÓWIĄ KOŚCI?

Nie ma ciała – nie ma zbrodni? Nic bardziej mylnego! Przykłady procesów poszlakowych (np. sprawa Marka G. z Czeladzi, skazanego za zamordowanie żony, czy wspomnianego na początku Adama Ł.) pokazują, że znalezienie corpus delicti nie zawsze jest niezbędne, by winny poniósł karę.

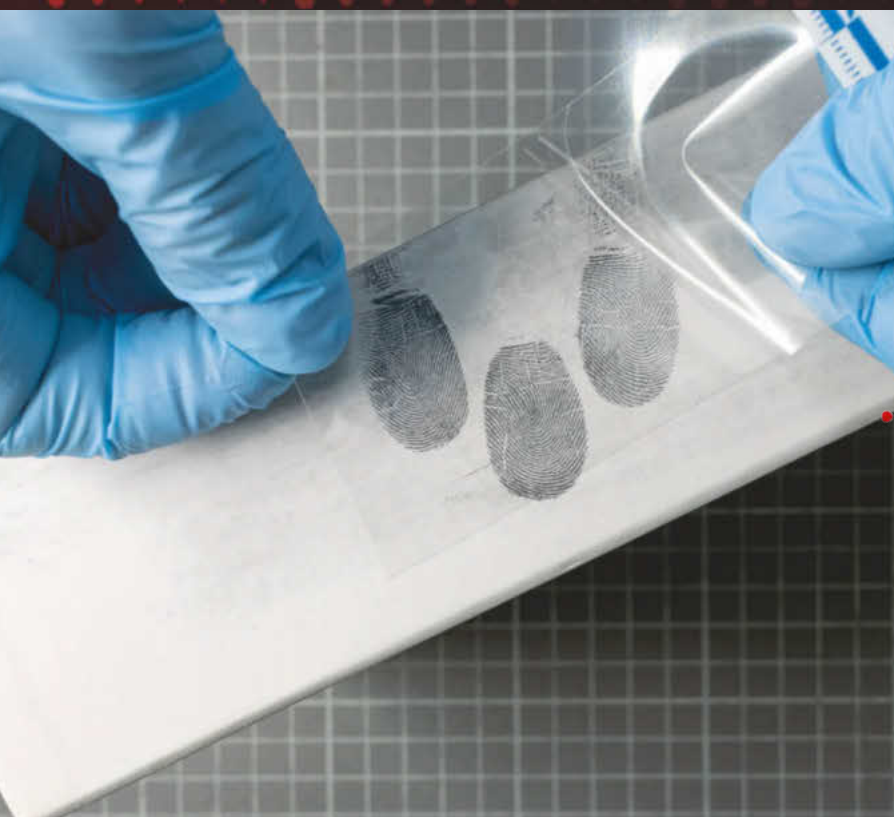
Oczywiście zwłoki pozostawione na miejscu zbrodni są jednym z najistotniejszych dowodów w sprawie kryminalnej. Doświadczony patolog sądowy jest w stanie wyczytać z ciała bardzo dużo: zaawansowanie procesów gnilnych, kolor, wygląd i miejsce występowania plam opadowych, stadium rozwoju larw much czy obecność stężenia pośmiertnego zdradzają, kiedy nastąpił zgon, a drobiazgowa analiza uszkodzeń oraz badanie krwi, moczu i tkanek pod kątem zatruć czy obecności substancji toksycznych pozwala ustalić mechanizm śmierci i jego bezpośrednią przyczynę.

Nie oznacza to jednak, że zwłoki nie mogą ukryć tajemnic sprawcy, jeśli np. po zabójstwie kilkakrotnie zmieni ich ułożenie, zanim dojdzie do utrwalenia plam opadowych (dzieje się to po ok. 12–15 godzinach od zgonu). Albo gdy jako narzędzie wykorzysta substancję naturalnie występującą w organizmie bądź bardzo szybko się rozkładającą – tak jak robili to „łowcy skór" z łódzkiego pogotowia. Masę biologiczną, jaką stanowi ludzkie ciało, bardzo trudno jest zutylizować. Do pełnej kremacji kości potrzeba temperatury 750–1100°C przez nawet dwie godziny, co w „domowych" warunkach jest w zasadzie niemożliwe



MAKABRYCZNY POLIGON DOŚWIADCZALNY

Dla antropologa sądowego tajemnice zabrane przez ofiarę mordu do grobu wcale nie są tajemnicami... Dzięki tzw. trupim farmom, czyli ośrodkom badawczym, w których ludzkie zwłoki umieszcza się w różnych środowiskach (np. w płytkim grobie, bagażniku samochodu lub wodzie o określonej temperaturze), by godzina po godzinie obserwować przebieg procesu rozkładu, eksperci są w stanie precyzyjnie określić czas zgonu, nawet jeśli od śmierci minęły całe miesiące. Pierwsza taka placówka powstała na Uniwersytecie Tennessee w Knoxville z inicjatywy dr. Williama Bassa. „Im lepsze mamy narzędzia, tym lepiej słyszymy szepty zmarłych i tym częściej poznajemy ich historie, odpowiadamy na ich prośby i doprowadzamy ich zabójców przed oblicze sprawiedliwości" – pisał naukowiec w swojej książce *Trupia farma*.



JAK NA DŁONI

Daktyloskopia, czyli metoda identyfikacji człowieka na podstawie śladów linii papilarnych opuszek palców rąk, to jedna z najstarszych technik kryminalistycznych. Jej naukowe podstawy stworzył już pod koniec XIX wieku Francis Galton. Opracował on zasadę trzech N: ślady daktyloskopijne są bowiem niepowtarzalne (prawdopodobieństwo, że dwie osoby – nawet bliźniaki jednojajowe – będą miały takie same linie papilarne, jest niemal zerowe), niezmienne (układ bruzd na opuszkach kształtuje się już w życiu płodowym i pozostaje taki sam do śmierci) oraz nieusuwalne (powierzchowne rany bądź oparzenia tylko czasowo mogą zniekształcić wzór; po zagojeniu linie papilarne odtwarzają się identyczne jak przed skaleczeniem – żeby trwale je usunąć, trzeba by zniszczyć głębokie warstwy skóry).



GADATLIWE OWADY

Przyroda bywa zarówno sprzymierzeńcem, jak i wrogiem mordercy – entomolodzy sądowi potrafią na podstawie działalności nekrofagów (owadów żerujących na zwłokach, takich jak chrząszcze omarlicowate i skórnikowate czy larwy muchówek plujkowatych) określić czas zgonu, a niekiedy również miejsce zbrodni, znaleźć dowody znęcania się itp. Z drugiej strony, jeśli inteligentny sprawca rzuci ciało trupojadom „na pożarcie", może zamaskować część śladów.

do uzyskania (a zęby oraz implanty medyczne i tak zwykle wychodzą z tego procesu cało). Wbrew temu, co pokazują seriale takie jak *Breaking Bad*, również próba rozpuszczenia zwłok przy użyciu wodorotlenku sodu (ługu), bynajmniej nie jest prosta: trwa zdecydowanie dłużej, niż sugeruje to popkultura, a na dodatek generuje intensywny, nieprzyjemny zapach. Pozostaje więc ukrycie koronnego dowodu zbrodni.

Ale co, jeśli – czasem po wielu latach – szczątki jednak zostaną odnalezione? Genialna dr Temperance Brennan z serialu *Kości*, mając do dyspozycji zaledwie fragmenty szkieletu, potrafi określić tożsamość ofiary, zrekonstruować okoliczności jej śmierci, a niekiedy nawet wskazać zabójcę. I choć twórcy programu pozwalają sobie na sporo artystycznej swobody, a projektor holograficzny pojawiający się na ekranie jest czystą fantastyką naukową, to przy użyciu szczegółowych pomiarów i analiz niemała część wniosków bohaterki serialu jest w zasięgu jej prawdziwych kolegów po fachu.

– *Kości to księga, z której można wiele wyczytać. Na dobrą sprawę są mi w stanie powiedzieć więcej niż żywa osoba* – mówił w rozmowie z Onetem Andrzej Czubak z Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie. – *Miałem taką sprawę, że próbowano spalić zwłoki. Jednak wśród tych zgliszczy znaleźliśmy ząb. Na jego podstawie jestem w stanie określić, czy należał on do mężczyzny czy kobiety, w jakim wieku był denat, mogę też coś powiedzieć na temat tego, jak się żywił.* A skoro tyle zdradza pojedynczy ząb, to można tylko wyobrazić sobie, jak „gadatliwa" potrafi być cała czaszka.

KIEDY LODÓWKA STAJE SIĘ ŚWIADKIEM?

W XXI wieku powodem wykrycia winnych przestępstwa stają się już nie tylko odciski palców, zapachy, plamy krwi, fragmenty DNA czy inne fizyczne ślady pozostawione przez sprawcę na miejscu zbrodni. Równie dużym problemem dla kryminalistów jest podążająca za każdym z nas „cyfrowa chmura". >

„Jeżeli są pozostawione ślady, jeżeli wiemy, jaki jest motyw, to nie jest to zbrodnia doskonała. Jest to po prostu zbrodnia, w której, w pewnym sensie, porażką jest to, że nie udało się jej udowodnić albo nie udało się ustalić, kto takie przestępstwo popełnił"

prof. EWA GRUZA, prawniczka i kryminalistyczka z Uniwersytetu Warszawskiego



„ZDRAJCA" W KIESZENI

Technologia bywa dla śledczych ważnym sprzymierzeńcem. Jak podkreślają detektywi, częstym błędem sprawcy jest zabranie na miejsce zbrodni własnego smartfona – niektóre modele iPhone'ów nawet po wyłączeniu zasilania wysyłają sygnał lokalizacyjny.

I nie chodzi wyłącznie o historię wyszukiwarki zawierającą pytania: „Jak działa luminol?" lub „Jak się pozbyć zapachu zwłok?". Współczesne „smartdomy" oraz podłączone do internetu urządzenia mobilne, z którymi praktycznie się nie rozstajemy (przede wszystkim smartfony i smartwatche), stały się kopalnią dowodów dla biegłych z zakresu informatyki śledczej. Dowodów, które są niemal niemożliwe do całkowitego usunięcia przez sprawcę.

Szacuje się, że do 2030 roku na całym świecie będzie 39 miliardów urządzeń podłączonych do tzw. internetu rzeczy (Internet of Things), a do 2035 roku ich liczba przekroczy 50 miliardów. Każde z nich to potencjalny „niemy świadek". Przykłady? Inteligentne oświetlenie rejestruje moment włączenia i wyłączenia światła, zmiany natężenia oraz koloru, pozwalając śledczym zweryfikować alibi sprawcy. Smartlodówki wyposażone w wewnętrzne kamery oraz zapisujące interakcje z ekranem dotykowym mogą poświadczyć o obecności osób trzecich w kuchni. Z kolei czujniki ruchu w termostatach są w stanie stworzyć mapę aktywności wewnątrz całego budynku, odnotowując przemieszczanie się ludzi w poszczególnych pomieszczeniach. Nagły skok tętna u sprawcy lub ofiary, zarejestrowany przez smartwatcha lub opaskę, może wskazać na moment popełnienia zbrodni. Tak stało się w przypadku Australijki Myrny Nilsson zamordowanej przez synową; z kolei Amerykanin Jeff West, który zabił żonę, „wpadł" przez... licznik kroków w iPhonie.

Zmorą przestępców są jednak przede wszystkim dane o lokalizacji – zaczynając od logowań telefonu komórkowego do stacji bazowych w okolicy przestępstwa, a kończąc na aplikacjach przechowujących historię pokonywanych tras z dokładnością do kilku metrów. Co więcej, nawet użycie narzędzi do czyszczenia metadanych bądź fałszowania lokalizacji GPS może być śladem, a cyfrowa cisza bywa równie podejrzana co nietypowa aktywność. Brytyjski policjant Wayne Couzens, który w marcu 2021 roku zgwałcił i zamordował Sarah Everard, krótko przed aresztowaniem usunął wszelkie dane z telefonu, ale zamiast odsunąć od siebie podejrzenia, tylko upewnił w ten sposób śledczych o swojej winie.

ZBRODNIA, KTÓREJ NIE BYŁO

Rozwój technologiczny sprawia, że popełnienie zbrodni doskonałej staje się coraz trudniejsze. Już teraz algorytmy sztucznej inteligencji pomagają analizować i prognozować zachowania podejrzanych, odnajdywać wzorce w materiale dowodowym oraz porównywać przestępstwa. Systemy rozpoznawania twarzy czy głosu, wykorzystywane m.in. przez antyterrorystów, być może w niedalekiej przyszłości będą też służyć detektywom prowadzącym sprawy zabójstw.

Duże nadzieje pokłada się także w nanotechnologii, która umożliwi wykrywanie śladów zbrodni na po-

TEKST: Maria Rojewska

ZDJĘCIA: Adobe Stock (9); Mauro Fermariello, Peter Menzel/SPL, 20th Century Fox/East News (4); Andrew Brookes/Gallo Images; mat. redakcyjne/AI (2); Shutterstock; policja.pl

„Najważniejszym narzędziem śledczych jest rozmowa z podejrzanym. Ja to nazywam przełamaniem punktu oporu – kiedy osoba »pęka« i sama zaczyna opowiadać, jak popełniła zbrodnię”

PAWEŁ S., pracownik operacyjny policji z 20-letnim stażem

ziomie molekularnym. – *Postęp jest olbrzymi, nie do wyobrażenia 40 czy 50 lat temu. Dlatego z coraz większą pewnością można powiedzieć, że nie ma zbrodni doskonałej. Zbrodnia doskonała jest fikcją literacką, która nie ma pokrycia w rzeczywistości* – mówi prof. Brunon Hołyst, kryminolog z Uniwersytetu Łódzkiego.

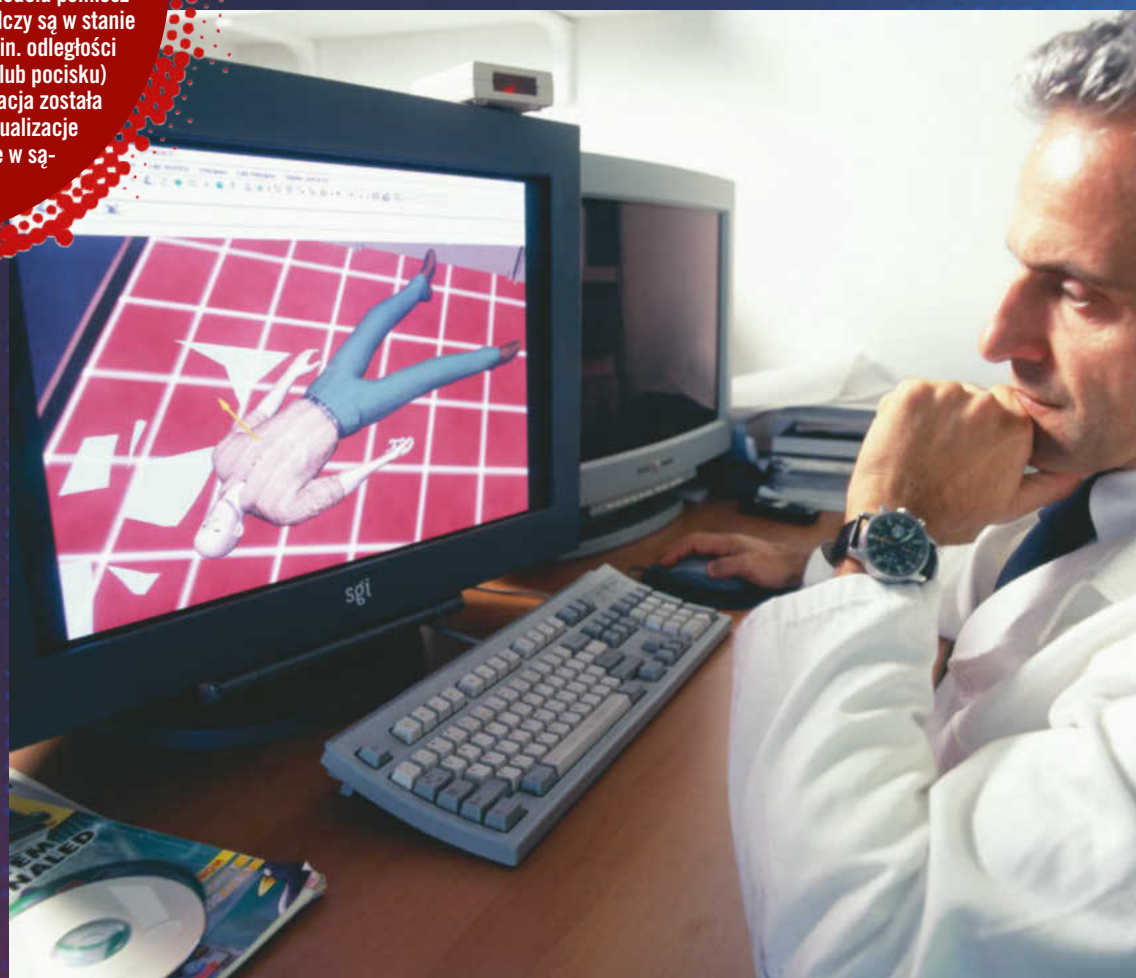
Nie oznacza to oczywiście, że wszyscy sprawcy najbardziej brutalnych przestępstw zostaną za każdym razem wykryci, choć jak podkreślają eksperci, nieustalenie winnego raczej nie wynika z geniuszu zabójcy, ale jego szczęścia i niedoskonałych działań służb, w efekcie których zbrodniarz nie zostaje odnaleziony lub jest oczyszczany z zarzutów przez sąd. Szacuje się, że tzw. ciemna liczba zdarzeń kryminalnych – które są błędnie klasyfikowane albo pozostają w ogóle niezauważone – może być dwu- lub trzykrotnie wyższa od oficjalnych danych. I choć trudno powiedzieć, ile dokładnie zabójstw rocznie zostaje uznanych za samobójstwo, zaginięcie lub zgon z przyczyn naturalnych, to niewątpliwie podawana w statystykach liczba około 500 mordów jest zaniżona.

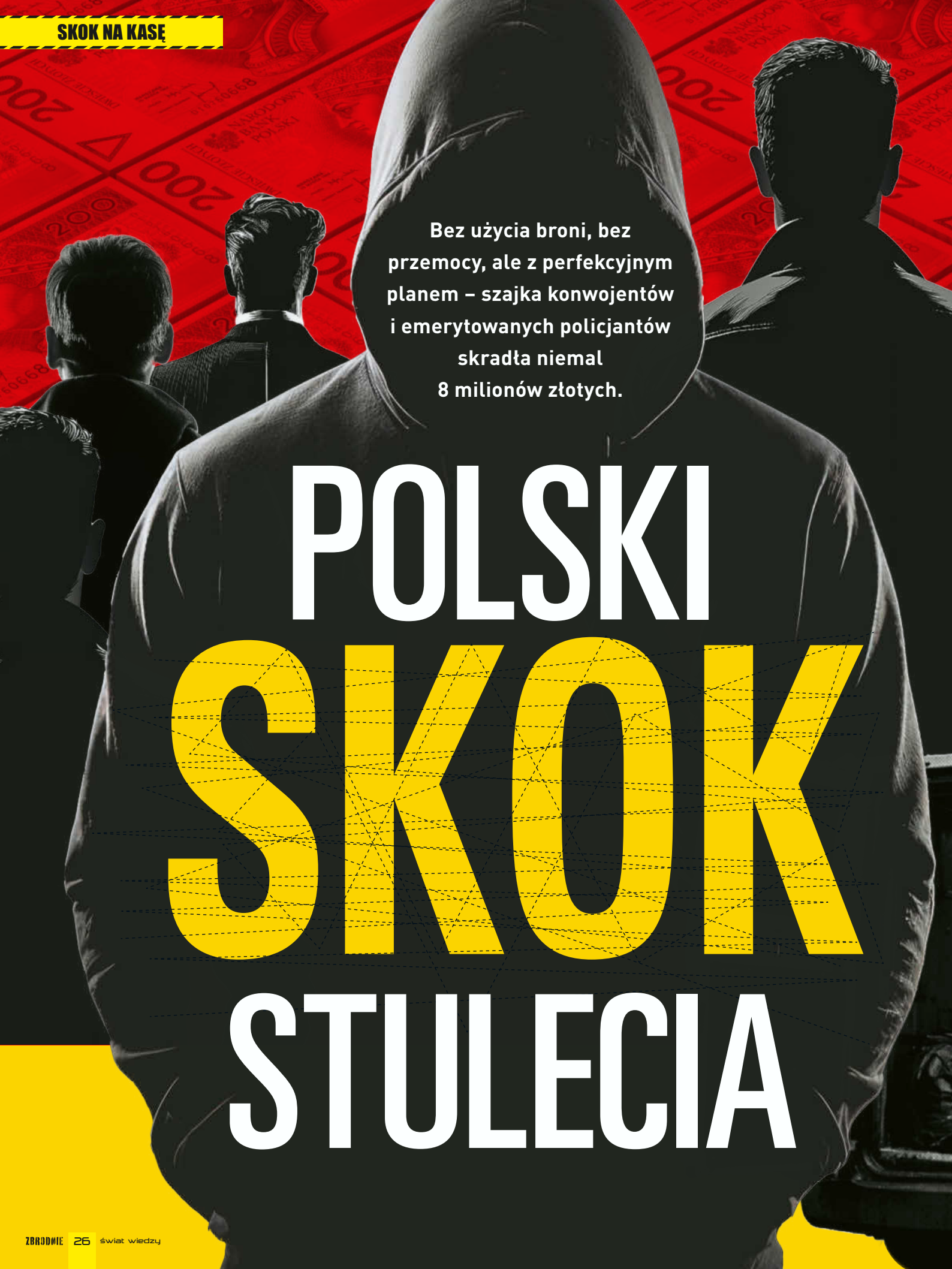
Z drugiej strony, nawet jeżeli ktoś dokona zabójstwa, a policja początkowo nie zdoła wykryć sprawcy, to nie ma gwarancji, że – tak jak w opisanym na początku artykułu przypadku Adama Ł. – w przyszłości prawda nie wyjdzie na jaw, bo np. pojawi się świadek lub ktoś przypadkowo znajdzie zwłoki. Cóż, najwyraźniej jedynym sposobem na zbrodnię doskonałą jest... nigdy jej nie popełnić. ■

ZAMROŻONE W CZASIE

Dzięki nowoczesnym lidarom, czyli skanerom laserowym tworzącym precyzyjne, trójwymiarowe mapy otoczenia, proces rekonstrukcji miejsca zbrodni jest dziś łatwiejszy i bardziej dokładny niż kiedykolwiek. Urządzenia te rejestrują dosłownie każdy szczegół – od rozmieszczenia przedmiotów po rozbryzgi krwi. W takim cyfrowym modelu pomieszczenia, gdzie doszło do zabójstwa, śledczy są w stanie dokonywać dowolnych pomiarów (m.in. odległości sprawcy od ofiary, trajektorii ciosu lub pocisku) długo po tym, jak faktyczna lokalizacja została posprzątana. Trójwymiarowe wizualizacje mogą też być wykorzystywane w sądzie podczas rozprawy.





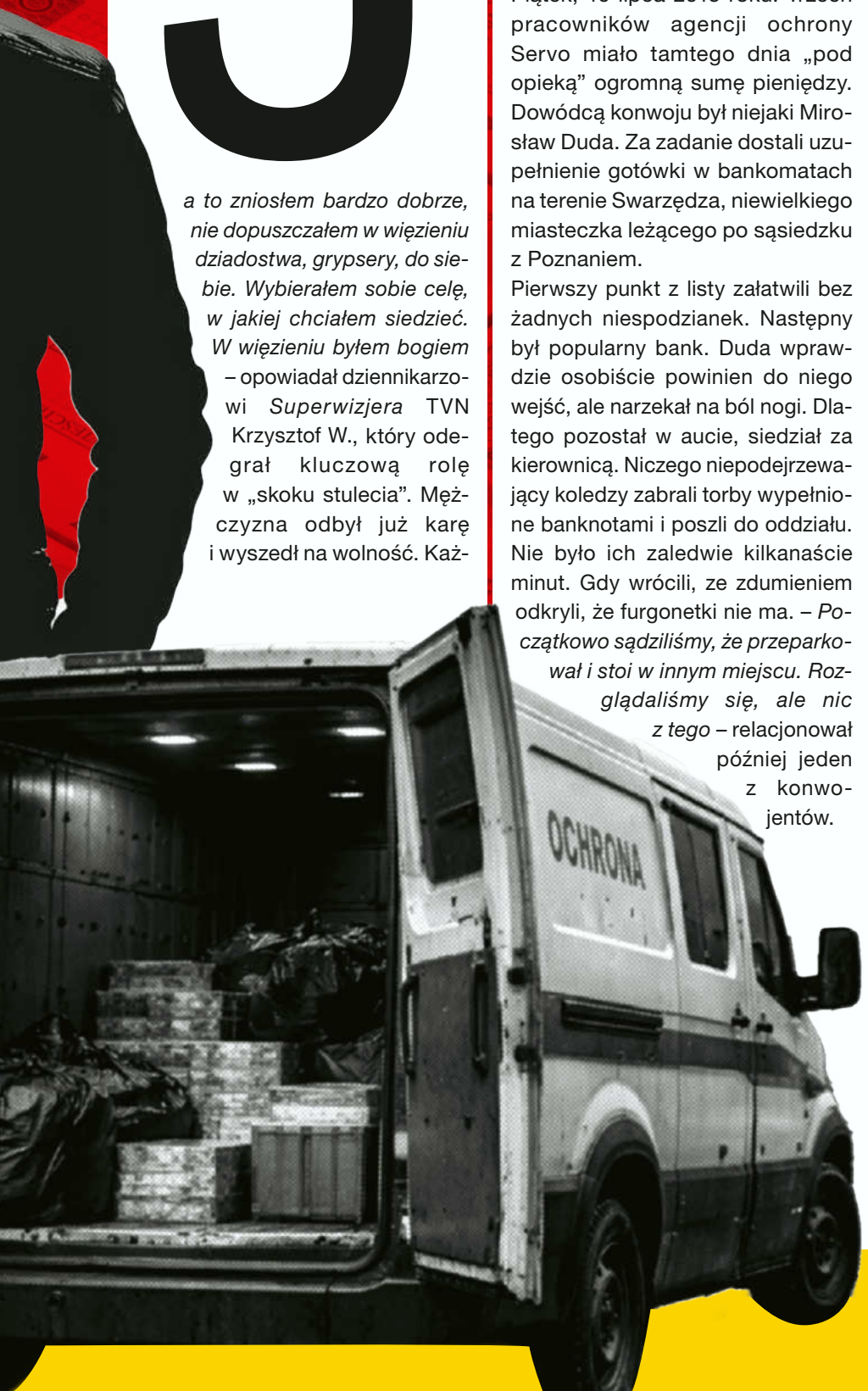


Bez użycia broni, bez przemocy, ale z perfekcyjnym planem – szajka konwojentów i emerytowanych policjantów skradła niemal 8 milionów złotych.

POLSKI SKOK STULECIA

J

a to zniosłem bardzo dobrze, nie dopuszczałem w więzieniu dziadostwa, grypsery, do siebie. Wybierałem sobie celę, w jakiej chciałem siedzieć. W więzieniu byłem bogiem – opowiadał dziennikarzowi *Superwizjera* TVN Krzysztof W., który odegrał kluczową rolę w „skoku stulecia". Mężczyzna odbył już karę i wyszedł na wolność. Każdy ukradziony milion kosztował go rok życia za kratami. Trudno jednak dostrzec skruchę. Wydaje się wręcz dumny z tego, co zrobił: – *Połowa służby więziennej to była zachwycona i otwarcie mi mówiła: „Chłopie, sami byśmy to zrobili, gdybyśmy tylko mieli okazję"*.



ZNIKAJĄCA **GOTÓWKA**

Piątek, 10 lipca 2015 roku. Trzech pracowników agencji ochrony Servo miało tamtego dnia „pod opieką" ogromną sumę pieniędzy. Dowódcą konwoju był niejaki Mirosław Duda. Za zadanie dostali uzupełnienie gotówki w bankomatach na terenie Swarzędza, niewielkiego miasteczka leżącego po sąsiedzku z Poznaniem.

Pierwszy punkt z listy załatwili bez żadnych niespodzianek. Następny był popularny bank. Duda wprawdzie osobiście powinien do niego wejść, ale narzekał na ból nogi. Dlatego pozostał w aucie, siedział za kierownicą. Niczego niepodejrzewający koledzy zabrali torby wypełnione banknotami i poszli do oddziału. Nie było ich zaledwie kilkanaście minut. Gdy wrócili, ze zdumieniem odkryli, że furgonetki nie ma. – *Początkowo sądziliśmy, że przeparkował i stoi w innym miejscu. Rozglądaliśmy się, ale nic z tego* – relacjonował później jeden z konwojentów.

Przez chwilę stali przed bankiem zdezorientowani, nie bardzo wiedząc, jak zachować się w tak niecodziennej sytuacji. Ich niepokój rósł z każdą minutą, bo Duda się nie pojawił. W końcu powiadomili centralę, ale szefowie niewiele wskórali. Po pierwsze: dowódca konwoju nie odbierał telefonu. Po drugie: próba namierzenia bankowozu poprzez satelitę również zakończyła się porażką. Nie działał lokalizator GPS zamontowany w samochodzie.

Furgonetkę odnaleziono dopiero po wielu godzinach – porzucony pojazd dostrzegł w lesie przypadkowy grzybiarz. Niemal pusty, bo w środku była tylko niewielka część pieniędzy. Zniknęło 7,7 miliona złotych – a wraz z nimi Mirosław Duda.

„Skok stulecia" – takie pojawiły się nagłówki, gdy kradzież wyszła na jaw.

CZŁOWIEK **WIDMO**

W policji natychmiast powołano specjalną grupę śledczą, która współpracowała z Prokuraturą Okręgową w Poznaniu. Szybko jednak stało się jasne, że będzie to żmudna, czasochłonna sprawa.

Najpierw upadła wersja o wyskoku desperata z problemami finansowymi. Mundurowi wprawdzie pojechali po Mirosława Dudę (adres figurował w bazie firmy Servo), ale mężczyzna ten... nie miał nic wspólnego ze spektakularną akcją. Ktoś wykorzystał jego tożsamość.

Na nic zdało się badanie bankowozu – jego wnętrze zostało bowiem oblane chlorem. Równie czysta była służbowa szafka konwojenta. Żadnych śladów. Z kolei pracownicy agencji ochrony nie potrafili powiedzieć nic konkretnego o „koledze", choć pojawił się w firmie kilka miesięcy wcześniej. Nie utrzymywał kontaktów towarzyskich, nie chodził z nimi na przysłowiowe piwo, tym bardziej nikogo do siebie nie zapraszał. Postrzegany jako odludek, może nawet dziwak, bo często nosił rękawiczki.

>

Tak naprawdę jedynym namacalnym dowodem istnienia „Dudy" było niewyraźne zdjęcie – zarejestrowane przez kamerkę monitoringu z bankomatu. Widać było na nim mężczyznę z gładko ogoloną głową, gęstą, czarną brodą, barczystego, może nawet nieco otyłego, w czarnej koszulce oraz kamizelce taktycznej (zob. na str. 30).

– *Ten kadr był pokazywany dosłownie we wszystkich mediach, setki, może i tysiące razy, a pomimo to nikt nie zgłosił się z wiarygodną informacją, kim jest poszukiwany mężczyzna. To było dziwne* – tłumaczyli funkcjonariusze z Poznania. Dopiero po ponad pół roku odkryto, dlaczego nie rozpoznano „Mirosława Dudy".

KOSZTOWNY **BŁĄD**

Śledczy byli cierpliwi. Czekali na błąd – i w końcu się go doczekali. Do banku w Łodzi przyszła kobieta ze sporą gotówką. W zwykłej reklamówce przyniosła ćwierć miliona złotych. To była żona Adama K., emerytowanego łódzkiego policjanta. Wtedy doszło do przełomu. Okazało się, że banknoty miały takie same numery seryjne jak te skradzione.

Funkcjonariusza wzięto pod lupę. Analiza bilingów telefonicznych wykazała, iż przed skokiem często rozmawiał z Grzegorzem Ł., wiceprezesem Servo, ale po skoku zerwali kontakty. Po tym odkryciu śledztwo ruszyło z impetem. We wrześniu zatrzymano trzy osoby, choć sam Grzegorz Ł. znikł.

Adam K. długo szedł w zaparte. Pękł dopiero wtedy, gdy zdobyto kolejne dowody przeciwko niemu (np. potwierdzono, że kupił telefony używane potem przez członków szajki). Zaczął składać wyjaśnienia. Podał nieznane okoliczności, także nazwiska wspólników – w tym fałszywego konwojenta.

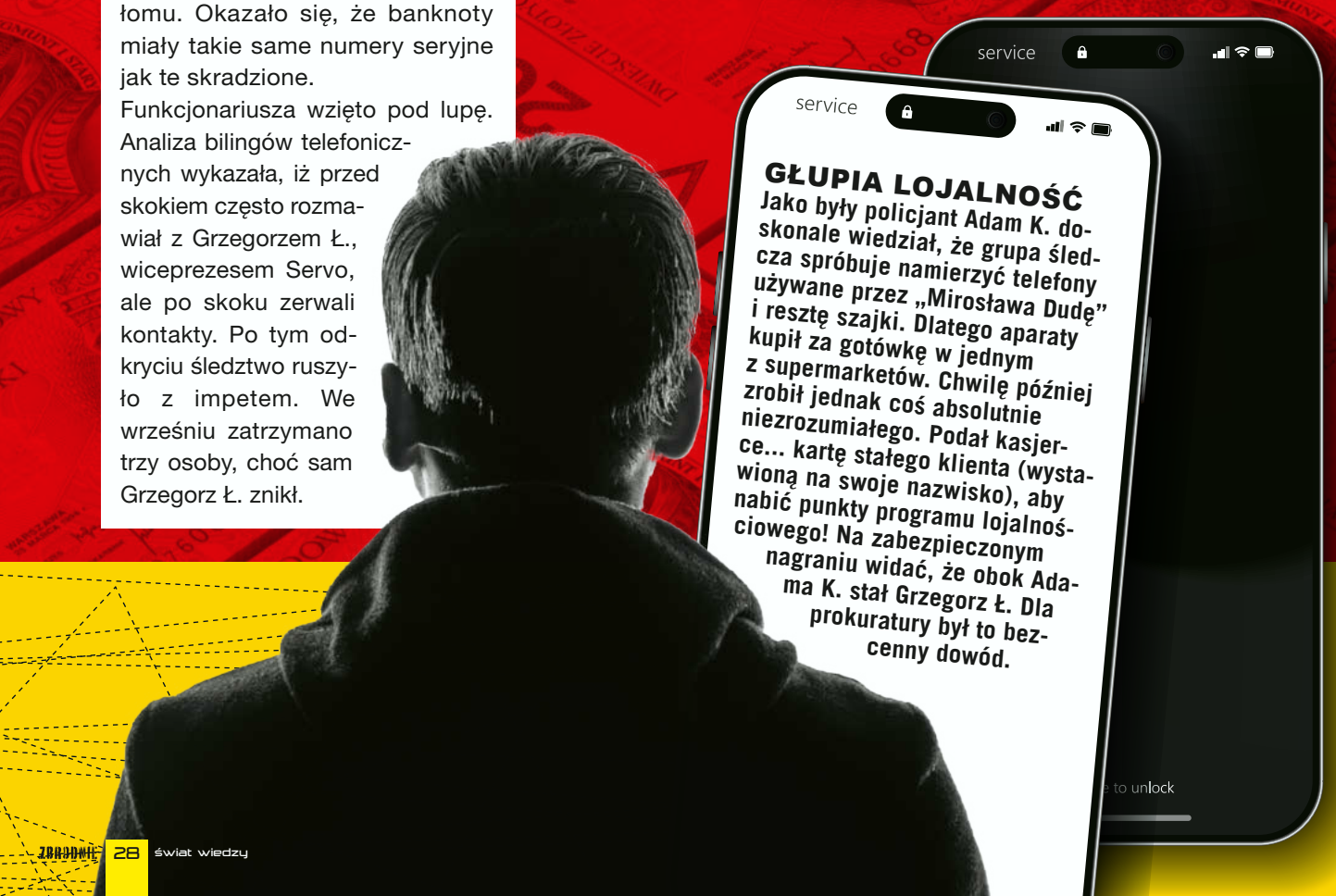
Sensacyjna informacja gruchnęła w lutym 2016 roku. „Mirosław Duda" okazał się 46-letnim Krzysztofem W., prowadzącym z żoną mały zakład krawiecki. „Policjanci zatrzymali go rano w jednym z domów jednorodzinnych na terenie Łodzi, w którym mieszkał wraz z rodziną" – podano w komunikacie Komendy Wojewódzkiej Policji w Poznaniu. Podejrzany usłyszał zarzut udziału w zorganizowanej grupie przestępczej i trafił do aresztu. Nie udawał niewinnego, poszedł na współpracę.

PO CIEMNEJ **STRONIE MOCY**

Kto wpadł na pomysł kradzieży? Pojawił się już w 2014 roku w trakcie rozmowy dwóch kolegów – w przeszłości policjantów, którzy kilka lat służyli nawet w tym samym komisariacie w Łodzi. Gdy Grzegorz Ł. zdjął mundur, zaczął pracować w sektorze prywatnym, a po pewnym czasie został wiceprezesem Servo. To on opowiedział Adamowi K. o swoim planie.

– *Chodziło o to, by w prosty sposób przejąć pieniądze ładowane do bankomatów. Mówił, że potrzebny jest do tego jakiś człowiek zatrudniony w Servo na podstawie fikcyjnych dokumentów, który w ramach swojej pracy przewoziłby pieniądze z banku do bankomatów, a w pewnym momencie odjechałby z nimi samochodem* – zeznał Adam K. (cytat za „Głosem Wielkopolskim").

Później wtajemniczony został również Marek K., ochroniarz z innej firmy, a ten znalazł Krzysztofa W., którego motyw był bardzo prozaiczny: pieniądze. Pracował jako krawiec i kiepsko zarabiał, za to narobił ogromnych długów, miał na karku egzekucję komorniczą, nie był w stanie utrzymać rodziny. Dlatego po namyśle zgodził się na odegranie roli fałszywego konwojenta.





KŁAMALI O KASIE

Podczas przesłuchań członkowie szajki niby opowiadali o kulisach akcji, ale w jednym temacie niewątpliwie kłamali – o skradzionych pieniądzach. Każdy podawał bowiem inną wersję wydarzeń. Krzysztof W. twierdził, że po skoku nic nie dostał. Marek K., że łup podzielono po równo. Adam K., że z Grzegorzem Ł. zakopali swoją działkę, a ten ostatni zaprzeczał, aby miał coś wspólnego z przestępstwem. Do dziś nie odkryto prawdy – oraz nie znaleziono gotówki.

Skaptowano jeszcze Dariusza D., kolejnego ochroniarza, ale jego zadanie ograniczało się do pomocy w przewiezieniu i ukryciu skradzionych pieniędzy.

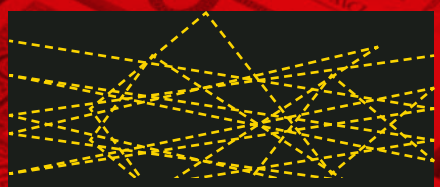
JAK USZYĆ NOWĄ TOŻSAMOŚĆ?

Drobiazgowe przygotowania do „skoku stulecia" trwały długimi miesiącami. Ponieważ Krzysztof W. musiał zniknąć na dłuższy czas, okłamał bliskich, że znalazł pracę poza granicami Polski. Oczywiście, nigdzie nie wyjechał. Wspólnicy znaleźli mu bezpieczne lokum, nawet dawali co miesiąc gotówkę na bieżące wydatki.

W pierwszej kolejności krawiec zadbał o zmianę wyglądu. Drastyczną! Nie tylko ogolił głowę na łyso, ale zapuścił brodę, zaczął nosić okulary, a przede wszystkim regularnie brał specjalny suplement diety, dzięki któremu w szybkim tempie znacząco przytył. Osiągnął zdumiewający efekt – fizycznie stał się całkowicie innym człowiekiem. – *Właśnie dlatego nikt ze znajomych nie rozpoznał w nim konwojenta ze słynnego zdjęcia. Gdy został zatrzymany, nawet policjanci byli zaskoczeni, bo w żaden sposób nie przypominał osoby z tego kadru* – opowiadali śledczy.

Równocześnie kompani załatwili Krzysztofowi W. nową tożsamość. Skradzioną, ale co ważne – nie fikcyjną, należącą do naprawdę istniejącego mężczyzny. Stał się „Mirosławem Dudą", otrzymując nie tylko podrobiony dowód osobisty, lecz również fałszywe pozwolenie na posiadanie broni. Bez tego dokumentu nie mógłby przecież liczyć na angaż w agencji ochrony. Nawet badania od lekarza medycyny pracy miał sfabrykowane. Szajka zadbała o każdy szczegół. – *Tak przygotowany zgłosił się do pracy* – mówił rzecznik poznańskiej policji. „Duda" został jednym z konwojentów Servo, ale w Łodzi nie spędził dużo czasu, bo już po kilku tygodniach poprosił o przeniesienie do oddziału w Poznaniu. Dostał zgodę. Przez następne miesiące pracował, nie wzbudzając żadnych podejrzeń.

Gdy członkowie grupy byli gotowi, czekali już tylko na konwój z wystarczająco dużą sumą gotówki. Taki nadarzył się w piątek 10 lipca 2015 roku. To wtedy Krzysztof W. odjechał spod banku w Swarzędzu furgonetką z milionami. Dziś wiadomo, że nie można było namierzyć bankowozu, ponieważ złodziej włączył urządzenie zagłuszające sygnał GPS.



SPRAWDZALI NAWET ZWŁOKI

Policjanci nie wykluczali, że po wykonaniu zadania „Duda" został zamordowany przez wspólników. Dlatego – jak ujawnili reporterzy *Superwizjera* – na początku śledztwa sprawdzano niezidentyfikowane zwłoki. Na szczęście ta teoria się nie potwierdziła.





MISTRZ ZABAWY W CHOWANEGO

Los Grzegorza Ł. (na zdj.) tak długo pozostawał nieznany, że śledczy bardzo poważnie rozważali scenariusz, że mężczyzna nie żyje. Dzisiaj wiadomo, że podczas ukrywania się korzystał z fałszywych dokumentów. W końcu jednak Grzegorz Ł. sam zadzwonił do prokuratury. Zaproponował, że dobrowolnie wróci do Polski i przyjedzie na przesłuchanie, ale postawił jeden warunek: chciał otrzymać list żelazny, który gwarantowałby, że nie trafi za kratki do czasu wydania prawomocnego wyroku skazującego. Jego oferta została jednak odrzucona, a niedługo później namierzyli go policyjni „łowcy głów". W trakcie zatrzymania był zaskoczony, ale nie stawiał oporu.



10 ZŁOTYCH POKUTY

Zgodnie z wyrokiem Krzysztof W. (powyżej jego wizerunek z kamery monitoringu bankowego) został nie tylko skazany na karę pozbawienia wolności, ale również zobowiązany do zwrotu skradzionych pieniędzy (podobnie jak jego wspólnicy). Nie miał jednak majątku, a pracując w więzieniu, zarabiał niewielkie sumy. Pewnego miesiąca dokonał przelewu na konto Servo w wysokości... 10 złotych.

Zanim ruszył pościg, bez przeszkód dotarł na umówione miejsce, gdzie czekał Dariusz D. Szybko wyciągnęli cenne walizki, a wnętrze pustego pojazdu oblali chlorem, niszcząc wszystkie ślady biologiczne.

GDZIE SĄ PIENIĄDZE?

Stamtąd pojechali do miejscowości pod Łodzią, gdzie mieszkał Adam K. Na miejscu obecny już był Grzegorz Ł. Częścią pieniędzy od razu się podzielili, resztę przepakowali do worków i zakopali na terenie sąsiedniej, opuszczonej posesji. Rozjechali się umówieni, że z rozdysponowaniem całego łupu poczekają, aż sprawa przycichnie.

Po rozbiciu szajki i złamaniu zmowy milczenia policjanci przeszukiwali nieruchomość, ale nie znaleźli ani złotówki. Co się więc stało z pieniędzmi? Pomimo upływu przeszło dekady nadal niewiele na ten temat wiadomo. Jak twierdził Adam K., worki z milionami wykopał (bez wiedzy wspólników) Grzegorz Ł. i uciekł. Czyżby więc złodziej okradł złodziei?

Początkowo nie można było przesłuchać byłego wiceprezesa Servo, bo jako jedyny skutecznie się ukrywał. Wystawiono za nim list gończy, ale pomysłodawca „skoku stulecia" długo pozostawał nieuchwytny. Dopiero po ponad dwóch latach od kradzieży policyjni „łowcy głów" namierzyli go w pobliżu... Odessy. W listopadzie 2017 roku funkcjonariusze ukraińskiego SBU zatrzymali poszukiwanego mężczyznę. Procedura ekstradycyjna zajęła kilkanaście miesięcy. Wreszcie w październiku 2018 roku został przekazany polskim służbom na przejściu granicznym w Medyce.

Po przewiezieniu do Poznania został przesłuchany. Niestety, jeśli ktoś liczył na przełomowe informacje, musiał być mocno rozczarowany. – *Nie przyznaję się do winy,*

nie miałem nic wspólnego z kradzieżą, nie mam pojęcia, co się stało z pieniędzmi – taką linię obrony przyjął Grzegorz Ł. Trzymał się jej konsekwentnie zarówno w śledztwie, jak i podczas późniejszego procesu.

WYROK ZA **MILIONY**

Zanim Grzegorz Ł. wrócił do Polski, jego wspólnicy stanęli przed Sądem Okręgowym w Łodzi. Krzysztof W. nie kwestionował ustaleń prokuratury, choć próbował umniejszać swoją winę. Ze łzami w oczach przekonywał, że chciał się wycofać, ale został brutalnie pobity. – *Historyjka wymyślona. To podpowiedź adwokata* – przyznał po latach w reportażu *Superwizjera*.

Wszyscy zostali uznani za winnych. Krzysztof W. dostał osiem lat i dwa miesiące więzienia, reszta nieco łagodniejsze kary. – *To było przestępstwo zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach. Ale nie ma przestępstwa doskonałego* – podkreślił sędzia Robert Świecki.

W osobnym procesie wyrok usłyszał również Grzegorz Ł. – osiem lat. Wszyscy zamieszani w „skok stulecia" ze Swarzędza odbyli już karę i przebywają na wolności. Czy bogatsi o blisko 8 milionów złotych? Tego możemy się tylko domyślać... ■



EFEKT DOMINA

Z powodu skoku w Swarzędzu najbardziej ucierpiała agencja ochrony Servo, która była jedną z największych tego typu firm w Polsce. Ubezpieczyciel odmówił jednak wypłaty odszkodowania, bo dopatrzył się nieprawidłowości w konwojowaniu gotówki. Spółka znalazła się wtedy na skraju bankructwa – pracę w różnych oddziałach straciło kilkaset osób. Do dzisiaj właściciel Servo boryka się z problemami finansowymi, a szanse na odzyskanie pieniędzy od skazanych przestępców są znikome.



UKŁAD ZE ZŁODZIEJEM

Adam K. dość szybko odzyskał wolność – już podczas procesu odpowiadał z „wolnej stopy". Dogadał się z prokuraturą, że w zamian za zeznania dostanie łagodną karę: rok więzienia. Sąd był innego zdania. Skazał go na sześć lat i dwa miesiące za kratami. Gdy przestępca poznał wyrok, zaczął się ukrywać. Musiano wystawić za nim list gończy. Ostatecznie, po kasacji Sądu Najwyższego i ponownym procesie, przesiedział 3,5 roku.

TEKST: Wioletta Sobczak
ZDJĘCIA: Adobe Stock (3); mat. redakcyjne/AI (2); Marek Bazak, Piotr Kamionka/East News (2); Picsel; Shutterstock (2); domena publ.



WPŁYWOWI PRZYJACIELE

Wśród dobrych znajomych Epsteina byli Donald Trump i książę Andrzej. Pierwszy jest znowu prezydentem USA, drugi został pozbawiony tytułu książęcego oraz wynikających z niego przywilejów. Dowodem udziału Brytyjczyka w aferze są zdjęcia, jak to obok.

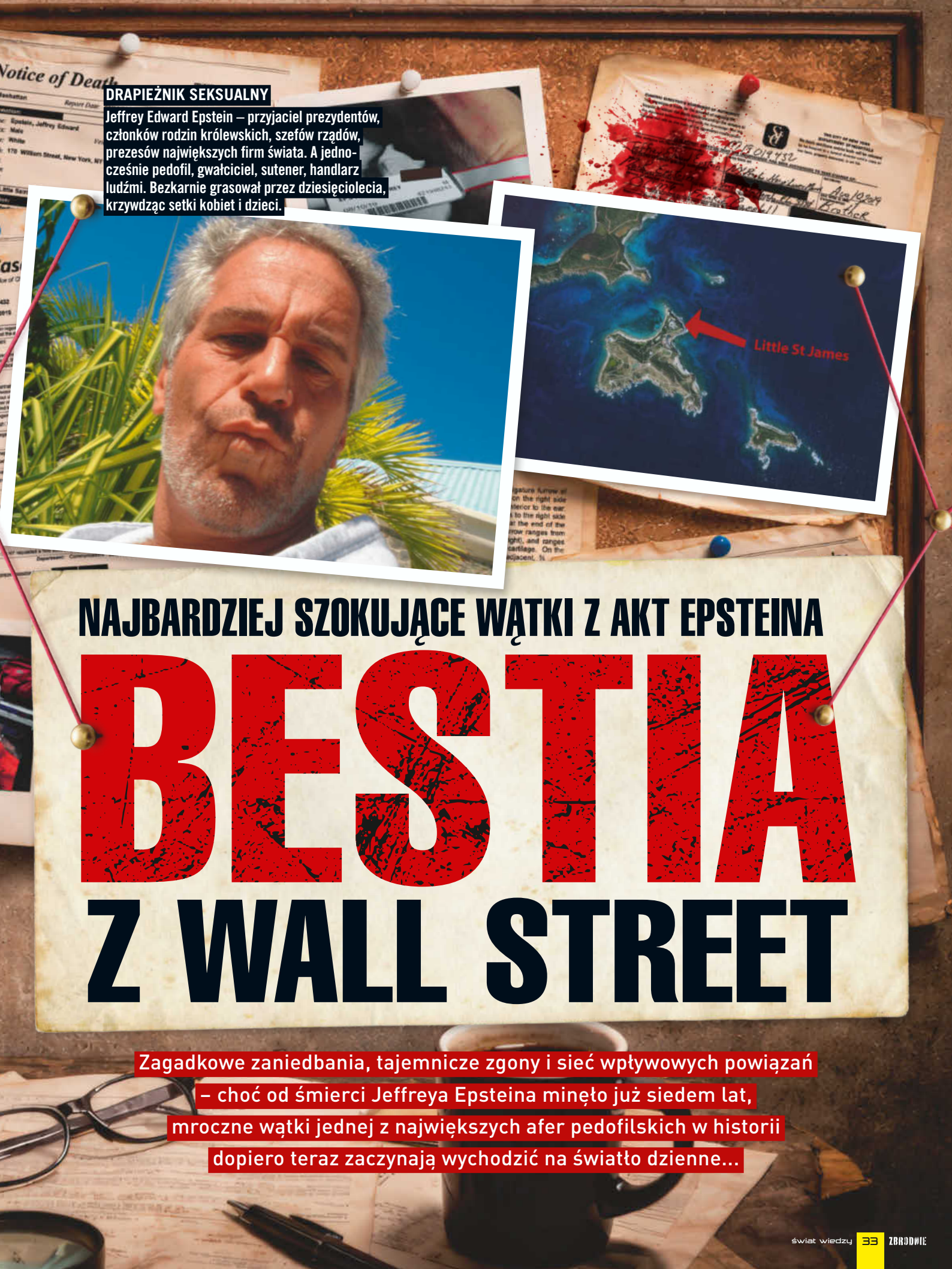


PRZELOTNA ZNAJOMOŚĆ

Były prezydent USA Bill Clinton wielokrotnie podróżował prywatnym odrzutowcem należącym do Epsteina (na zdj.), nazywanym „Lolita Express" w nawiązaniu do słynnej książki o zakazanej relacji dojrzałego mężczyzny i dwunastolatki. Mimo to polityk określa dziś finansistę „przelotnym znajomym".

NIE CAŁKIEM JAWNE ARCHIWUM

Ujawnione przez Departament Sprawiedliwości „akta Epsteina" zawierają miliony dokumentów, setki tysięcy zdjęć i nagrań, niezliczoną ilość nazwisk. Wśród nich te najsłynniejsze: Donald Trump, syn Elżbiety II Andrzej, Bill Gates, Elon Musk, Ehud Barak i wiele innych. Pomimo deklaracji, że upubliczniono wszystkie materiały, spora część została ocenzurowana lub wyłączona z publikacji. Zazwyczaj pod pretekstem ochrony tożsamości ofiar i osób „niesłusznie pomówionych" czy w interesie toczących się śledztw. Amerykańscy kongresmeni ujawnili również, że lista nazwisk osób pojawiających się w aferze jest znacznie dłuższa. A to oznacza, że jeszcze niejedna mroczna tajemnica może nas zaskoczyć...



DRAPIEŻNIK SEKSUALNY

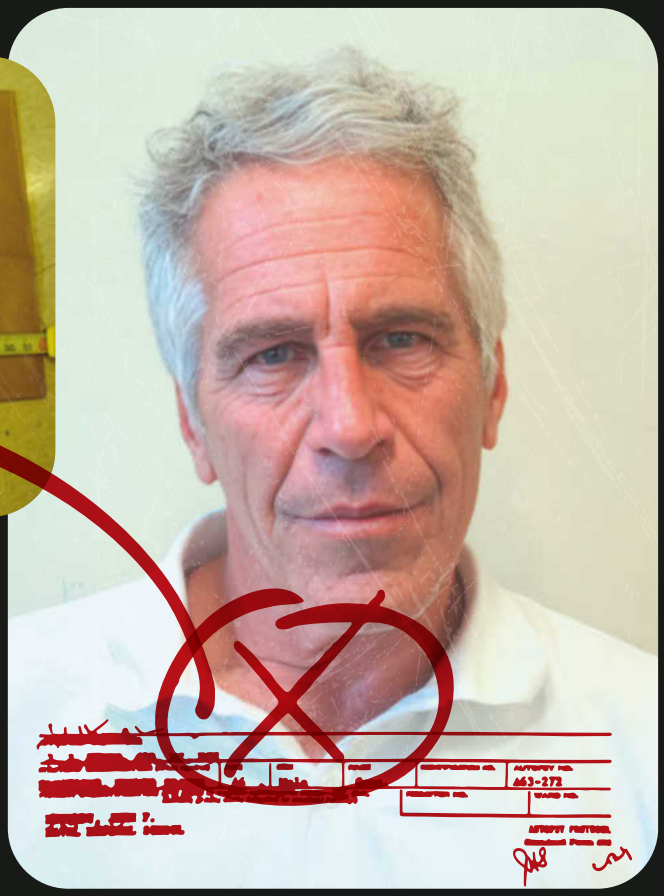
Jeffrey Edward Epstein – przyjaciel prezydentów, członków rodzin królewskich, szefów rządów, prezesów największych firm świata. A jednocześnie pedofil, gwałciciel, sutener, handlarz ludźmi. Bezkarnie grasował przez dziesięciolecia, krzywdząc setki kobiet i dzieci.

NAJBARDZIEJ SZOKUJĄCE WĄTKI Z AKT EPSTEINA

BESTIA Z WALL STREET

Zagadkowe zaniedbania, tajemnicze zgony i sieć wpływowych powiązań – choć od śmierci Jeffreya Epsteina minęło już siedem lat, mroczne wątki jednej z największych afer pedofilskich w historii dopiero teraz zaczynają wychodzić na światło dzienne...





SKANDALICZNA UGODA

Bulwersująco niski wyrok z 2008 roku (zaledwie 1,5 roku ograniczenia wolności) był efektem ugody Epsteina z prokuraturą Florydy, która równocześnie gwarantowała milionerowi, że nie będzie ścigany za przestępstwa federalne. To zapewniło mu bezkarność za ohydne zbrodnie. Poufną umowę zaakceptował prokurator Alexander Acosta – ten sam, który w trakcie pierwszej kadencji prezydenta Donalda Trumpa został ministrem pracy w jego administracji. Złożył dymisję kilka dni po ponownym aresztowaniu Epsteina.



ZGON O 7:36

Epsteina próbowano reanimować w areszcie Metropolitan Correctional Center, ale nie dawał oznak życia. Po kilkunastu minutach trafił do szpitala Beekman. Tam właśnie zrobiono zdjęcia z raportu FBI. Jako oficjalny czas zgonu podano godzinę 7:36.

JEFFREY EPSTEIN

Tajemnicza ŚMIERĆ

Po raz pierwszy Jeffrey Epstein został aresztowany w 2006 roku. Przyznał się wtedy do nakłaniania nieletnich dziewcząt do prostytucji, ale kara była nadzwyczaj łagodna – 18 miesięcy za kratami. Nie odsiedział całego wyroku, zresztą większość i tak odbył w ramach programu „praca na wolności". Przebywał głównie poza murami więzienia, więc mógł swobodnie zarządzać swym imperium z gabinetu w luksusowej rezydencji.

Przez następną dekadę Epstein był bezkarny. Do czasu. W listopadzie 2018 roku reporterka Julie K. Brown z „Miami Herald" opublikowała szokujące wyniki dziennikarskiego śledztwa: multimilioner skrzywdził dziesiątki nastolatek i młodych kobiet. Dopiero wtedy prokuratura przystąpiła do zdecydowanych działań. Szóstego lipca 2019 roku bogacza zatrzymano, gdy wysiadł z prywatnego odrzutowca na lotnisku Teterboro. Tego samego dnia usłyszał zarzuty wykorzystywania seksualnego nieletnich oraz handlu ludźmi. Groziło mu 45 lat więzienia. Finansista trafił do aresztu na Manhattanie, gdzie miał przebywać do rozpoczęcia procesu. Procesu, do którego nigdy nie doszło.

Dziesiątego sierpnia ok. 6:30 strażnicy więzienni podczas porannego obchodu znaleźli nieprzytomnego Epsteina – mężczyzna powiesił się na pętli wykonanej z prześcieradła (na zdj. w lewym górnym rogu). Po przewiezieniu do szpitala stwierdzono jego zgon. Oficjalna wersja: samobójstwo. Ale... Wbrew zaleceniom oskarżony przebywał w celi sam (zaskakującym zbiegiem okoliczności współosadzonego przeniesiono zaledwie dzień wcześniej). Miał być pod stałą obserwacją, lecz akurat tamtej nocy na oddziale nie działały kamery monitoringu. Ponadto sekcja zwłok wykazała takie złamania kości szyi, które w przypadku samobójstwa są raczej nietypowe. Trudno się dziwić, że wokół tej śmierci narosło mnóstwo teorii spiskowych. Zresztą Mark Epstein wprost stwierdził, że jego brata zamordowano na zlecenie wpływowych ludzi.

W odtajnionych aktach znalazł się m.in. raport FBI ze zdjęciami wykonanymi podczas próby reanimacji milionera. Wyszło również na jaw, że koroner Kristin Roman, która nazajutrz przeprowadzała sekcję zwłok, nie zaznaczyła w formularzu rubryki „zabójstwo" lub „samobójstwo" – sugerowała konieczność dalszych badań. Pomimo to główna lekarka sądowa Nowego Jorku Barbara Sampson szybko ogłosiła, że osadzony odebrał sobie życie. Roman była przesłuchiwana w trakcie śledztwa Departamentu Sprawiedliwości. Zeznała pod przysięgą: – *Epstein się powiesił*. Czy to utnie spekulacje o przyczynie śmierci 66-letniego finansisty? Mało prawdopodobne.



SPADKOBIERCZYNI

MILIONY SEKRETÓW

Epstein był rezydentem na Wyspach Dziewiczych, terytorium zależnym USA – to dlatego jego testament zmodyfikowany dwa dni przed śmiercią trafił do tamtejszego sądu. Zawierał aktywa o łącznej wartości 577 milionów dolarów, m.in. 56,5 milionów w gotówce, prawie 194 miliony w funduszach i inwestycjach oraz 112 milionów w akcjach. W skład majątku wchodziły spółki, do których należały nieruchomości w Nowym Meksyku, Nowym Jorku, Paryżu, na Florydzie i Little St. James. Największa część spadku przypadła jego dziewczynie, Białorusince Karynie Shuliak (oboje na zdj.), podejrzewanej o... współpracę z rosyjskim wywiadem.

Polski ŚLAD

W ujawnionych przez Departament Sprawiedliwości dokumentach nie brak polskich wątków. Najczęściej są to lakoniczne wzmianki o aktorach, modelkach czy biznesmenach, bez związków z przestępczą działalnością Epsteina. On sam śledził wydarzenia nad Wisłą – przez sentyment, bo jego dziadek Julius pochodził z Podlasia.

Natomiast nie ma cienia wątpliwości, że dwójka naszych rodaków odgrywała istotną rolę w imperium Epsteina. To Janusz Banasiak i Adrianna Mucińska. Ten pierwszy wyemigrował z PRL w latach 80. Dla milionera pracował przez dwie dekady, z czasem zdobywając jego bezgraniczne zaufanie. Banasiaka określano wręcz numerem dwa w hierarchii – zaraz za Ghislaine Maxwell (odsiaduje 20 lat za handel nieletnimi w celach seksualnych). Formalnie był zarządcą rezydencji na Florydzie, lecz jego wpływy były o wiele większe: miał chociażby dostęp do sejfów czy kont finansisty. Istnieją relacje, że często wypłacał pieniądze młodym kobietom po pobycie w posiadłości pedofila. Ponieważ wiedza Banasiaka o codziennym funkcjonowaniu milionera była ogromna, stał się istotnym świadkiem. Sam nie usłyszał zarzutów (otrzymał immunitet), ale złożył zeznania m.in. przeciwko Maxwell.

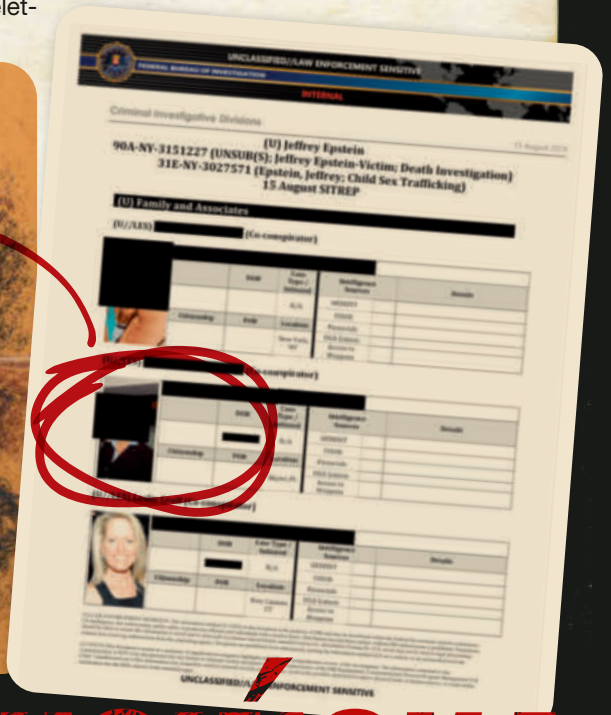
Z kolei Adrianna Mucińska to modelka, która wyjechała z Warszawy w wieku 19 lat. W 2002 roku rozpoczęła pracę w agencji Elite Model. Jak ujawnił dziennikarz śledczy Piotr Krysiak: „Szybko stała się główną asystentką Maxwell, koordynując codzienne operacje: od odbierania i przygotowywania nieletnich dziewcząt do »masaży« po organizację podróży prywatnym jetem". Często wspominany jest jej lot z Billem Clintonem, byłym prezydentem USA. Z zeznań świadków wynika, że do zadań Polki należało m.in. werbowanie nastolatek z Europy Wschodniej, którym obiecywano karierę w modelingu. Trudno precyzyjnie określić rolę Mucińskiej, ale Epstein powiedział podczas jednego z przesłuchań: – *Organizowała mi życie*. Ona również nie usłyszała zarzutów, zaś w trakcie przesłuchania w 2010 roku, przy pytaniach o działalność dawnego pryncypała, ponad 300 razy powołała się na piątą poprawkę do konstytucji USA, która chroni przed zeznaniami przeciwko sobie.

Według Krysiaka Mucińska jest mężatką i mieszka w Miami. Natomiast Banasiak, mający dziś 73 lata, usunął się w cień.



DOSTAŁA CYNK?

Nie brak spekulacji, że przed pierwszym nalotem FBI na rezydencję Epsteina Mucińska dostała cynk o akcji. Miała wtedy wynieść komputery z materiałami obciążającymi szefa. Nigdy tego nie potwierdzono.



ADRIANNA MUCIŃSKA

VIRGINIA GIUFFRE





PRZYJACIEL Z IZRAELA

Ehud Barak (na zdj. powyżej) to były premier Izraela, który przyjaźnił się z Epsteinem. Odwiedzał go w USA, był na jego wyspie, latał prywatnym odrzutowcem. Razem robili interesy. Teraz 84-latek zapewnia, że nie wiedział o odrażającej działalności milionera, choć trudno uwierzyć, by nie miał świadomości o jego wyroku za przestępstwa seksualne. Nie milkną spekulacje, że to on mógł być oprawcą wspomnianym przez Virginię Giuffre (w środku na zdj. po lewej).

Wyznania OFIARY

Większość ofiar Epsteina długo milczała. Mało kto miał odwagę zeznawać czy otwarcie wystąpić przeciwko milionerowi brylującemu w towarzystwie najpotężniejszych ludzi polityki i biznesu. Ale były też wyjątki: Virginia Giuffre już w 2011 roku zaczęła publicznie opowiadać o swoim dramacie.

Jako nastolatka pracowała w spa w Mar-a-Lago na Florydzie, gdzie poznała Ghislaine Maxwell, która zaoferowała jej posadę masażystki. Pod tym pretekstem została zwabiona do posiadłości finansisty – tak jak wiele innych dziewcząt wcześniej i później.

Jej relacja przeraża – nie tylko tym, co zrobił Epstein, ale i inni mężczyźni, którym była „wynajmowana". Brutalne gwałty, perwersje, orgie, przemoc... Jako pierwsza ujawniła odrażające zachowania Andrzeja (oboje wraz z Maxwell na zdj. powyżej), syna królowej Elżbiety II, młodszego brata króla Karola III. Brytyjskiego arystokratę spotkała trzykrotnie. Najpierw w Londynie, później w Nowym Jorku i na Wyspach Dziewiczych. Za każdym razem miało dochodzić między nimi do stosunków seksualnych.

Pomimo dramatycznych przeżyć i traumy kobieta walczyła o szczęście: wyszła za mąż, została matką, wraz z rodziną zamieszkała w Australii. Jednak 25 kwietnia 2025 roku ciało Virginii znaleziono w jej domu w Neergabby. Policja uznała, że było to samobójstwo.

Pośmiertnie ukazały się jej wspomnienia *Dziewczyna niczyja. Historia przetrwania i walki ofiary Epsteina*. Napisała w niej: „W ciągu lat spędzonych z nimi pożyczali mnie wielu bogatym, wpływowym ludziom". Jeden z oprawców, „znany premier", miał czerpać przyjemność z jej strachu i bólu. „Pragnął przemocy" – podkreśliła. „Wierzyłam, że mogę umrzeć jako niewolnica seksualna". Spekuluje się, że chodziło o Ehuda Baraka, przyjaciela multimilionera.

Połączyło ich HOBBY

Niewątpliwie Jeffrey Epstein i obecny prezydent USA Donald Trump doskonale się znali. Przez długie lata utrzymywali wręcz zażyłe relacje. Dowodem są ich liczne wspólne zdjęcia i nagrania czy opowieści świadków. Trump konsekwentnie zaprzecza, aby wiedział o zbrodniach popełnionych przez Epsteina, zanim wybuchła afera. Tymczasem dziennikarze „Miami Herald" ustalili, że już w 2006 roku skontaktował się ze służbami na Florydzie, które dopiero co wszczęły śledztwo dotyczące seksualnego wykorzystywania dzieci. Przesłuchiwany po latach przez FBI szef policji w Palm Beach Michael Reiter zrelacjonował słowa Trumpa: – *Dzięki Bogu, że go powstrzymujecie. Wszyscy wiedzą, że to robi*.

Nie jest też tajemnicą, że Epstein bywał w elitarnym klubie golfowym Mar-a-Lago, należącym do obecnego prezydenta USA. Został z niego wyrzucony w 2003 roku, bo napastował pracującą tam nastolatkę. Właściciel luksusowej rezydencji od dawna dostawał sygnały o skandalicznych zachowaniach finansisty, nie tylko od personelu. „The Wall Street Journal" ujawnił, że już w połowie lat 90. alarmowała o tym nawet Marla Maples – druga żona Trumpa. Bez skutku.

W dokumentach opublikowanych przez Departament Sprawiedliwości nazwisko Trump figuruje tysiące razy. Jest też lista donosów zgłoszonych FBI i prokuraturze telefonicznie lub mailowo, ale... zostały one uznane za niewiarygodne. W odtajnionych aktach nie ma żadnych dowodów, aby prezydent popełnił jakiekolwiek przestępstwo seksualne w porozumieniu z Epsteinem.

A takie oskarżenia w przeszłości się pojawiały. Chodzi o kobietę nazwaną „Katie Johnson" (prawdziwej tożsamości nigdy nie ujawniono), która w 1984 roku miała 13 lat. Twierdziła, że wówczas padła ofiarą Epsteina, a niedługo potem została przez niego przewieziona do rezydencji w Nowym Jorku lub New Jersey. I tam – jak relacjonowała – Trump próbował ją zmusić do seksu oralnego, a gdy go ugryzła, uderzył ją w twarz i kazał wyrzucić. W 2016 roku „Katie Johnson" wprawdzie złożyła (i to trzykrotnie) pozew przeciwko późniejszemu prezydentowi, ale ostatecznie go wycofała. Nie doszło więc do procesu, zaś dowodów albo świadków na potwierdzenie jej dramatycznej opowieści brakuje.

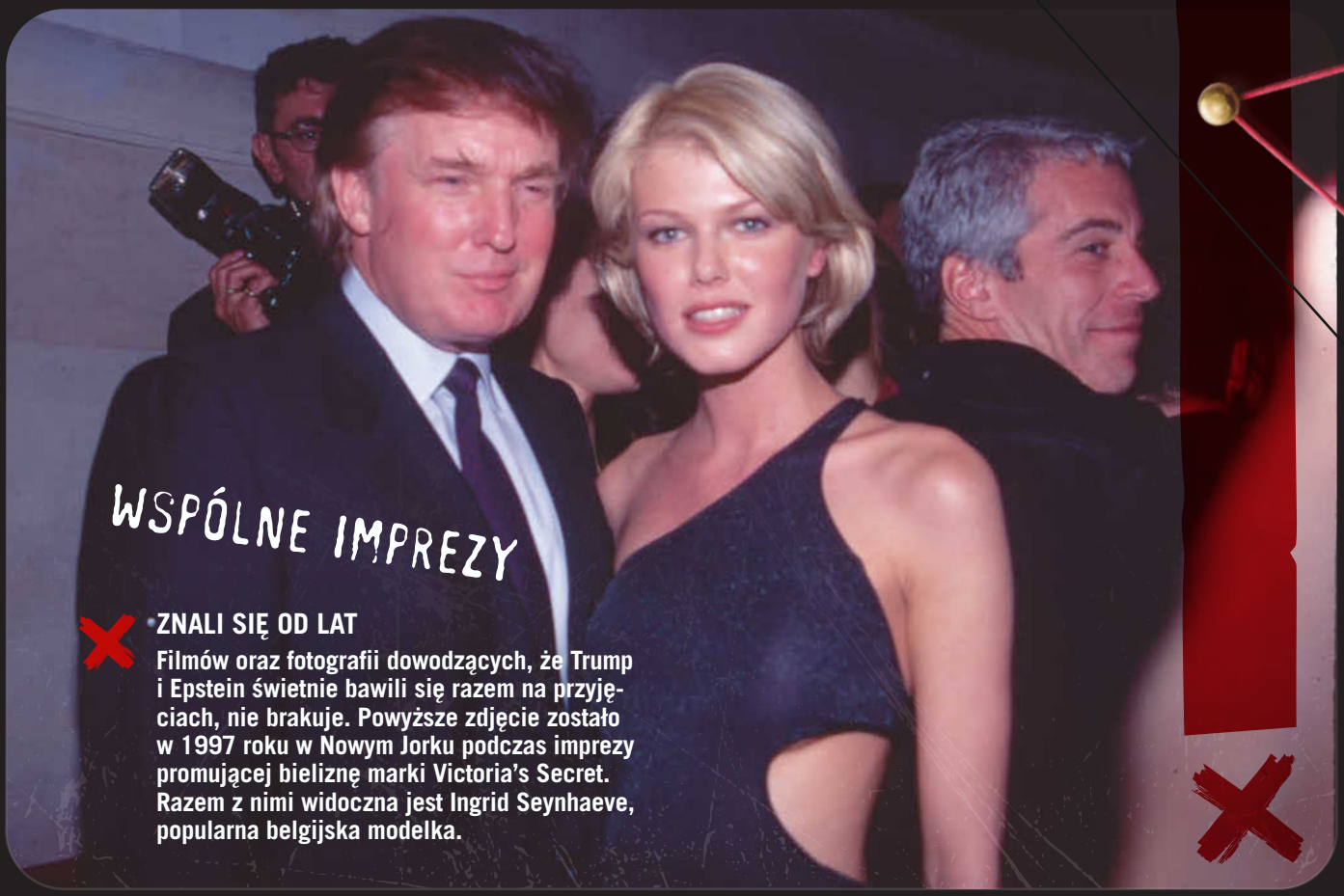
Sprawa niedawno wróciła, ponieważ wyszło na jaw, że w 2019 roku „Katie Johnson" była kilkukrotnie przesłuchiwana przez FBI, lecz jej wersji wydarzeń nie uznano za wiarygodną. Administracja Trumpa i on sam oczywiście również twierdzą, że oskarżenia są wyssane z palca.

Dzisiaj prezydent USA bagatelizuje znajomość z Epsteinem, choć w przeszłości opisywał ją zgoła inaczej. W 2002 roku w wywiadzie dla „New Yorkera" stwierdził: „To świetny gość, znamy się od piętnastu lat (...). Doskonale się razem bawimy, mówi się, że Epstein, tak jak ja, lubi piękne kobiety, głównie te raczej młodsze".



UZNANY ZA (NIE)WINNEGO

Na przestrzeni lat wiele kobiet oskarżało Trumpa o molestowanie, choć zwykle nie było to związane z siatką Epsteina. Najgłośniejsza sprawa dotyczyła dziennikarki Elizabeth Jean Carroll, która napisała, że w połowie lat 90. została przez przyszłego prezydenta zgwałcona w przebieralni domu towarowego. On zarzucił jej kłamstwo, twierdząc, że w ten sposób chciała promować wydaną właśnie autobiografię. Wówczas Carroll złożyła pozew. Ława przysięgłych wprawdzie odrzuciła zarzut gwałtu, ale równocześnie... uznała Trumpa za sprawcę napaści seksualnej i nakazała wypłacenie pięciu milionów dolarów odszkodowania. W grudniu 2024 roku federalny sąd apelacyjny utrzymał orzeczenie w mocy.



WSPÓLNE IMPREZY

ZNALI SIĘ OD LAT

Filmów oraz fotografii dowodzących, że Trump i Epstein świetnie bawili się razem na przyjęciach, nie brakuje. Powyższe zdjęcie zostało w 1997 roku w Nowym Jorku podczas imprezy promującej bieliznę marki Victoria's Secret. Razem z nimi widoczna jest Ingrid Seynhaeve, popularna belgijska modelka.



PYTANIA O PYTANIE

Elon Musk, który pomógł Trumpowi wygrać ostatnie wybory prezydenckie (na zdj. podczas kampanii), również znalazł się w aktach. Zachował się chociażby mail z 2012 roku – pytał w nim Epsteina: „W który dzień będzie najdziksza impreza na twojej wyspie?". Właściciel Tesli zapewnia jednak, że nigdy nie był na Little St. James.



SKAZAĆ WSZYSTKICH PEDOFILÓW!

Ósmego marca 2026 roku w Nowym Jorku odbył się protest przed wieżowcem Trump Tower – należącym do obecnego prezydenta USA. W jego trakcie oddano hołd ofiarom Epsteina. Przede wszystkim jednak domagano się prawdy i ukarania wszystkich zamieszanych w aferę pedofilską.

DONALD TRUMP

JEAN-LUC BRUNEL



WSPÓLNICY ZWYRODNIALCA
Ghislaine Maxwell i Jean-Luc Brunel (na zdj.) to najważniejsi „naganiacze" Epsteina. Widoczną obok fotografię opublikował w grudniu 2025 roku Departament Sprawiedliwości. Nie wiadomo, kiedy ją wykonano.

Ofiary seryjnego **SAMOBÓJCY**

Samobójstw i zgonów w tajemniczych okolicznościach wśród osób, które w przeszłości spotkały Epsteina, jest zaskakująco dużo.

Pochodząca z Rosji 20-letnia modelka Rusłana Korszunowa w czerwcu 2008 roku wyskoczyła z balkonu mieszkania w Nowym Jorku. Nikt wówczas nie znał powodów targnięcia się na życie (nie pozostawiła listu pożegnalnego), choć przyjaciele kobiety opowiadali o jej depresji i załamaniu nerwowym. Dopiero w 2024 roku wyszło na jaw, że Korszunowa dwa lata przed śmiercią była na wyspie Little St. James, leciała odrzutowcem finansisty, a jej nazwisko pojawiało się w mailach Epsteina.

Jedna z jego ofiar, która zeznawała przeciwko Ghislaine Maxwell, nagle zmarła w maju 2023 roku. Według raportu koronera przyczyną śmierci Carolyn Andriano było przypadkowe przedawkowanie opioidów.

Francuz Jean-Luc Brunel był właścicielem agencji modelek i miał odgrywać istotną rolę w siatce Epsteina. Według prokuratury rekrutował dziewczyny, które były później wykorzystywane seksualnie. Niewątpliwie posiadał ogromną wiedzę zarówno o ofiarach, jak i dewiantach współpracujących z Amerykaninem. W grudniu 2020 roku Brunel został aresztowany i trafił do więzienia w Paryżu, gdzie oczekiwał na proces. W lutym 2022 roku strażnicy znaleźli w celi jego zwłoki – powiesił się. Skojarzenia z samobójstwem Epsteina są oczywiste, ale i w tym przypadku nie znaleziono dowodów na udział osób trzecich...

Z kolei Efrain „Stone" Reyes, który przez kilka dni siedział w jednej celi z Epsteinem, był jego ostatnim współosadzonym. W rozmowie z agentami FBI miał opowiadać, że finansista był nękany m.in. przez strażników i bał się o swoje bezpieczeństwo. Wkrótce później Reyes zmarł. Oficjalna przyczyna śmierci: powikłania po COVID-19.

Gra WYWIADÓW

W rezydencjach Epsteina nie brakowało kamer i mikrofonów, które zapewne rejestrowały, co wyprawiali jego goście – a przecież zapraszał do siebie przywódców państw, ludzi odpowiedzialnych za globalne bezpieczeństwo, szefów największych firm... Co się stało z nagraniami?

To zagadka, której rozwiązania raczej nigdy nie poznamy. Nie brak jednak głosów, że Epstein pracował dla agencji wywiadowczych. Padają różne nazwy: amerykańska CIA, izraelski Mosad, rosyjska Federalna Służba Bezpieczeństwa (FSB).

Oficjalnie potwierdzono, że William J. Burns, były dyrektor CIA, trzykrotnie spotykał się z Epsteinem. Twierdzi, że poprosił go o „ogólną poradę w sprawie przejścia do sektora prywatnego". O Mosadzie dużo się spekuluje, ponieważ Epstein, sam pochodzenia żydowskiego, prowadził interesy z byłym premierem Izraela Ehudem Barakiem. Poza tym nie można zapominać, że jego wspólniczka Ghislaine Maxwell to córka magnata medialnego Roberta Maxwella, o którego związkach z izraelskimi służbami dywagowano od dziesięcioleci.

Natomiast największą sensacją w dokumentach odtajnionych przez Departament Sprawiedliwości było potwierdzenie, że Epstein miał bardzo bliskie relacje z Moskwą, także z funkcjonariuszami służb specjalnych Kremla. Co ciekawe, firmy należące do imperium amerykańskiego finansisty przelewały ogromne sumy do rosyjskich banków, a to nie mogłoby się odbywać bez aprobaty, a co najmniej wiedzy FSB. Mało tego, anonimowy informator FBI podał w 2017 roku, że Epstein „był doradcą prezydenta Putina do spraw majątku". Nie ma pewności, czy doszło do osobistego spotkania z Władimirem Władimirowiczem, o które Epstein zabiegał bardzo długo. Jeśli się odbyło, to w tajemnicy. „Ekspertyzy zachodnich agencji wywiadowczych wskazują, że Epstein pracował dla Rosjan" – stwierdził branżowy portal defence24.pl. Jedno jest pewne: wpływowy multimilioner byłby cenny dla każdego wywiadu. ■



WYSPA PEDOFILÓW

W relacjach ofiar, a także aktach Departamentu Sprawiedliwości wielokrotnie pada nazwa Little St. James – to niewielki skrawek lądu należący do archipelagu Wysp Dziewiczych. Epstein stał się jego właścicielem w 1998 roku. Wybudował tam ogromną posiadłość, w której gościł biznesmenów, arystokratów, polityków i celebrytów. Pozornie rajski zakątek z przepięknymi widokami obecnie nazywany jest „wyspą pedofilów" – dochodziło tam do gwałtów na kobietach, nastolatkach, a nawet dzieciach, które nie miały jak stamtąd uciec. Podobne dramaty rozgrywały się również w rezydencjach Epsteina w Nowym Jorku, Paryżu, Nowym Teksasie, na Florydzie, a także na pokładzie prywatnego odrzutowca finansisty określanego mianem „Lolita Express".

TEKST: Wioletta Sobczak
ZDJĘCIA: Adobe Stock (2); Billy Farrell/BFA, US Department of Justice/East News (2); US Department of Justice (8); Mega/Forum; Spencer Platt, Sonia Moskowitz/Gallo Images (2); mat. redakcyjne/AI (3); Shutterstock; Wikimedia Commons (4)

TADEUSZ GRZESIK

„TRUSKAWA”

KILER

HISTORIA PRAWDZIWA

Gdyby zapytać „Truskawę”, ile osób zabił w swoim życiu, nie chcąc skłamać, odpowiedzi udzielibyby po dłuższej chwili, potrzebnej na zliczenie wszystkich ofiar. A i tak mógłby się pomylić. Bo to nie jest prosty rachunek.



MAKABRYCZNY REKORD

Polski seryjny morderca z największą liczbą ofiar, Tadeusz Grzesik (na zdj.), został skazany na dożywocie bez możliwości przedterminowego zwolnienia. Sąd udowodnił mu udział w 17 zabójstwach, choć policjanci podejrzewają, że może mieć związek z pozbawieniem życia nawet 40 osób.

ruskawa” to Tadeusz Grzesik. Inna ksywa: „Kiler”. Urodzony 24 marca 1960 roku, przez większość życia zamieszkały w Woli Jachowej w województwie świętokrzyskim. Troskliwy mąż i ojciec rodziny. Zawód wyuczony: cieśla. Wykonywany: rolnik, plantator truskawek (stąd pseudonim). Jesienią i zimą: seryjny morderca oraz gangster. Niechlubny polski rekordzista pod względem liczby osób, które sam uśmiercił bądź zlecił ich zabójstwo. Przywódca osławionej grupy kantorowców.

Tadeusz Grzesik zabijał dla pieniędzy, aby pozbyć się świadków – a także z czystego okrucieństwa.

MASAKRA NA LEŚNYM PARKINGU

Dziewiętnastego września 1991 roku, tuż przed godziną 22:00, dyżurny kieleckiej straży pożarnej został powiadomiony o pożarze lasu między miejscowościami Cedzyna i Radlin. Natychmiast wysłano w te rejony kilka jednostek gaśniczych.

Okazało się, że potężną łunę spowodował płonący samochód osobowy marki Moskwicz stojący na parkingu w pobliżu ośrodka rekreacyjnego pod Cedzyną. Od palącego się auta zajęło się poszycie leśne. Ogień został szybko opanowany. Na pogorzelisku znaleziono ciała dwóch mężczyzn i kobiety. Nie zginęli jednak w wyniku pożaru – zabito ich z broni krótkiej. Strzały oddano z bliskiej odległości. Kobieta, jak ustaliła później sekcja zwłok, została przed śmiercią dotkliwie pobita i zgwałcona.

Parking pod Cedzyną, zlokalizowany przy ruchliwej trasie Kielce–Lublin, pełnił rolę nieoficjalnego punktu zbornego i noclegowego dla obywateli ZSRR, przyjeżdżających do Polski w celach handlowych. Tu przepakowywali towar z charakterystycznych dużych toreb w kratę, dzielili się informacjami, wieczorem piekli kiełbaski na ognisku i spali w samochodach. Nazajutrz znowu ruszali na szlak.

Prowadzący dochodzenie w sprawie potrójnego zabójstwa funkcjonariusze świętokrzyskiej policji przyjęli, że ofiary zbrodni pochodziły z któregoś z krajów sowieckich. To się niebawem potwierdziło. Zamordowani przyjechali z Ukrainy do Polski na handel.

„RUSKIE PORACHUNKI”?

Pojawiła się wersja, że z tamtych stron pochodzili również mordercy. Mogli to być inni handlarze, którzy

OBAWIALI SIĘ **NAPADU?**

Trójkę Ukraińców nocujących na parkingu najprawdopodobniej zbudził warkot wjeżdżającego do lasu samochodu. Dwaj mężczyźni na wszelki wypadek wzięli łom i siekierę, być może spodziewając się napadu rabunkowego. Obaj w krótkim odstępie czasu zostali zastrzeleni z broni krótkiej. Policyjni technicy znaleźli w pobliżu jednego z ciał łuskę naboju kaliber 9 mm. Ostatnia zginęła kobieta. Przed śmiercią została zgwałcona. Zabezpieczone ślady biologiczne należały do dwóch sprawców – na zdj. doprowadzany na rozprawę jeden z nich: Tadeusz Grzesik.





MAJĄTEK W **SASZETCE**

Właściciele kantorów stanowili łatwy cel rabusiów (na zdj. usuwanie bomby podłożonej przed jednym z takich punktów w styczniu 1997 roku). Z kilku powodów. Po pierwsze, dysponowali dużą ilością gotówki w różnych walutach – a gotówka to „najbezpieczniejszy" łup, nie trzeba jej upłynniać u paserów. Po drugie, na przełomie XX i XXI wieku banki nie cieszyły się zaufaniem Polaków, więc właściciele kantorów nie wpłacali pieniędzy na konto, lecz trzymali je przy sobie. Po trzecie, oszczędzali na ochronie. Dzienny utarg wozili lub nosili w pojedynkę w saszetkach, plecakach, a nawet reklamówkach. Tak jakby prosili się o rabunek...

zabili trójkę Ukraińców, bo pokłócili się z nimi o podział zysków lub „rewirów" działania. Jednak brutalność sprawców, zgwałcenie kobiety, a przede wszystkim fakt, że posługiwali się bronią palną, bardziej wskazywał na jakiś gang. Choć polskie grupy przestępcze w latach 90. nie pozwalały bandytom z krajów byłego ZSRR w pełni rozwinąć skrzydeł, ci i tak rabowali, ściągali haracze oraz dokonywali zabójstw na zlecenie. Zasilali szeregi naszej „mafii" bądź działali na własną rękę. Śledczy brali też pod uwagę, że za zbrodnią stoją lokalni kryminaliści, którzy najpierw ograbili Ukraińców, a potem ich zlikwidowali.

Dochodzenie prowadzono wielokierunkowo. Policja przesłuchiwała świadków, analizowano ślady i modus operandi morderców. Wszystko na próżno. Po niecałych dwóch latach od zdarzenia prokuratura umorzyła śledztwo z powodu niewykrycia sprawców. Prawda o tej makabrycznej zbrodni miała wyjść na jaw dopiero ćwierć wieku później.

POCZĄTEK KRWAWEGO SZLAKU

Sprawcami masakry na parkingu pod Cedzyną byli Polacy. Było ich co najmniej trzech. Udało się ustalić tożsamość dwóch: Tadeusza Grzesika i jego serdecznego przyjaciela oraz długoletniego towarzysza na krwawym szlaku, Stanisława T. Obaj mieszkali w miejscowościach obecnego powiatu kieleckiego, tego samego, na terenie którego leży Cedzyna.

Było to pierwsza głośna zbrodnia z udziałem „Truskawy". Czy chronologicznie pierwsza – tego na sto procent nie wiadomo. Chociaż Grzesik został osądzony i przebywa w zakładzie karnym, jego przestępcza działalność może skrywać jeszcze wiele tajemnic.

Najprawdopodobniej zmęczeni pracowitym dniem Ukraińcy szykowali się już do snu, kiedy usłyszeli odgłos nadjeżdżającego samochodu. Mężczyźni postanowili sprawdzić przybyszów. Dla bezpieczeństwa wzięli siekierę i łom – ale nie uchroniło ich to przed kulami. Zginęli w krótkim odstępie czasu. Potem sprawcy zajęli się kobietą, która została w aucie. Wyciągnęli ją na zewnątrz, bili, gwałcili i na koniec zastrzelili.

Mogło im chodzić o obrabowanie Ukraińców i „zabawienie się" z ich towarzyszką. Ale zabrakło na to dowodów. Po latach, gdy sądzono za tę zbrodnię Tadeusza Grzesika (Stanisław T. już nie żył, popełnił samobójstwo w więzieniu, gdzie odsiadywał wyrok za inne przestępstwa), jako jedyny motyw przyjęto agresję seksualną.

ZŁOTA ERA GANGÓW

Tadeusz Grzesik, Stanisław T. i ich wspólnik Stanisław P. zostali wytypowani przez funkcjonariusza świętokrzyskiej policji jako potencjalni sprawcy potrójnego morderstwa na parkingu już kilkanaście dni po zdarzeniu. Doświadczony śledczy sporo o nich wiedział. Byli postrachem okolicy, lubowali się w brutalnej przemocy i mogli być w posiadaniu broni palnej. Figurowali w kartotekach organów ścigania.

Niestety, jego zalecenie, aby ich zatrzymać, przesłuchać i skonfrontować z zabezpieczonymi na miejscu zbrodni dowodami (łuski po kulach i ślady nasienia), nie znalazło akceptacji przełożonych. „Truskawa", zamiast pójść siedzieć za tę zbrodnię, jeszcze przez kilkanaście lat mordował i rabował. Pisze o tym reporter Maciej Kuciel w książce *Morderca w gumiakach. Historia największego polskiego seryjnego zabójcy*. Dlaczego więc policja nie zatrzymała „Kilera"?

Na pewno jedną z przyczyn zaniedbań w tej sprawie był gigantyczny chaos, w jakim Polska była pogrążona 35 lat temu. Upadała komuna, zaczynał się kapitalizm. Rzeczywistość zmieniała się niemal z dnia na dzień. Jedni błyskawicznie się bogacili, inni w zastraszającym tempie ubożeli. Padały duże zakłady pracy, na bruk szły tysiące ludzi. Rosło bezrobocie, inflacja sięgała nieba.

Wielka miotła zmian nie omijała organów ścigania. Zlikwidowano Milicję Obywatelską, powołano policję. >

PO TELEFONIE DO KŁĘBKA

Tadeusz Grzesik wiedział, że każdy telefon komórkowy posiada własny numer IMEI, który identyfikuje się podczas wykonywania połączenia – i bezwzględnie nakazywał swoim ludziom, aby pozbywali się aparatów zaraz po rabunku bądź morderstwie. Pomimo tego wpadli właśnie przez komórki. Wśród ustalonych przez policję połączeń realizowanych w rejonie Myślenic na krótko przed ostatnim napadem gangu kantorowców parokrotnie powtarzał się numer przedsiębiorstwa zbrojeniowego Mesko w Skarżysku-Kamiennej, gdzie pracował Jacek T. Śledczy, którzy już wcześniej podejrzewali ruszkinarza bandy o udział w zbrodniach, szybko połączyli kropki.



„BÓG NIE ISTNIEJE, **BO NIE TOLEROWAŁBY TEGO, CO ROBIĘ”** miał powiedzieć Tadeusz Grzesik do Jacka T.

Zwalniano doświadczonych funkcjonariuszy. Na ich miejsce przychodzili nowi, nierzadko z politycznego nadania. Niekoniecznie kompetentni, za to z przerostem ambicji. Potrafili zepsuć proste śledztwa. Dochodził jeszcze brak funduszy. Nie było pieniędzy – nie tylko na badania laboratoryjne śladów, ale i na paliwo do radiowozów...

Nastały dobre, wręcz złote czasy dla kryminalistów. Organy ścigania musiały się zmierzyć ze zjawiskami wcześniej niewystępującymi w Polsce, a przynajmniej nie na taką skalę. W siłę rosła przestępczość zorganizowana, zwana „mafią”. Gigantyczny przemyt, porwania dla okupu, wymuszanie haraczy, strzelaniny, gangsterskie porachunki, wybuchy bomb pułapek – wszystko to było niemal na porządku dziennym.

W takim tyglu policja błądziła niczym dziecko we mgle...

W sprawie potrójnej zbrodni pod Cedzyną, mimo umorzenia śledztwa, były jeszcze przez pewien czas prowadzone czynności. O udział w morderstwach Ukraińców podejrzewano m.in. gang „Krakowiaka”, jednego z najsłynniejszych polskich „,mafiosów”. Ale ten trop okazał się fałszywy.

Grzesik i jego ekipa, korzystając z tego, że policja za bardzo się nimi nie interesuje, rzucili się w wir bandyckiego życia. „Truskawa” współpracował z różnymi gangami. Wraz z nimi napadał na sklepy, hurtownie, TIR-y. Był człowiekiem do zadań specjalnych. Brał udział w likwidowaniu konkurencji – tych, którzy nie chcieli podporządkować się „ojcom chrzestnym”, oraz dłużników i potencjalnych konfidentów.

„STRZELAMY NA KLATUSIĘ”

Apogeum zbrodniczej działalności Tadeusza Grzesika przypada na pierwszą dekadę XXI wieku. Wtedy właśnie wraz z dwoma wspólnikami stworzył tzw. gang kantorowców.

W środę 7 grudnia 2005 roku około godziny 17:00 Jerzy P., 53-letni właściciel punktu wymiany walut w Kraśniku, podjechał samochodem pod blok, w którym mieszkał. Mężczyzna i jego żona, która wyjrzała przez okno, nosili jeszcze ślady opalenizny przywiezionej z niedawnego urlopu w Egipcie. Jerzy P. wszedł do klatki schodowej. Wtedy padł strzał. Przedsiębiorca zginął. Mordercy zabrali mu plecak, w którym miał utarg z całego dnia. Nie wiadomo, ile było w nim pieniędzy.

Policja wszczęła śledztwo, jednak nie przyniosło ono efektów. Jeżeli byli jacyś świadkowie zbrodni, nie chcieli mówić. Koledzy Jerzego P., również właściciele kantorów, zorganizowali zbiórkę pieniędzy dla osoby, która pomoże w ujęciu bandytów.

To także nie przyniosło rezultatów. Na schwytanie sprawców trzeba było poczekać kilkanaście miesięcy. Miesięcy, w trakcie których ginęli kolejni zamożni biznesmeni.

W latach 2005–2007 Grzesik i jego dwaj nowi wspólnicy, Wojciech W. oraz Jacek P., dopuścili się parunastu brutalnych napadów na właścicieli i pracowników kantorów. Okoliczności były podobne jak w Kraśniku. Sprawcy zamordowali dziewięć osób (w Tarnowie, Piotrkowie Trybunalskim, Przeworsku oraz Myślenicach), kilka zostało ciężko rannych. Strzelali tak, aby zabić: z bliskiej odległości z broni krótkiej kaliber 9 mm z tłumikiem, używając amunicji do radzieckich Makarowów. Celowali zwykle w głowę i klatkę piersiową ofiar. Tak zarządził „Truskawa". – *Strzelamy na klatusię* – instruował wspólników przed mokrą robotą.

Zabójstwa były połączone z zaborem pieniędzy, które mieli przy sobie przedsiębiorcy. Zwykle były to kwoty rzędu kilkudziesięciu tysięcy złotych. Nie w każdym przypadku sprawcom udało się zrabować łup...

DWA DOŻYWOCIA

Skok w Myślenicach (22 lutego 2007 roku), w trakcie którego zamordowano właściciela kantoru i jego syna, był ostatnią zbrodnią „Truskawy". Niespełna miesiąc później członkowie gangu zostali zatrzymani. Były już pewne przesłanki wskazujące na to, kto może stać za serią głośnych zabójstw. Bandytów zgubiła niefrasobliwość w użytkowaniu telefonów komórkowych.

Tadeusz Grzesik, Wojciech W. oraz Jacek T. trafili do aresztu. Na tym ostatnim ciążył zarzut nie tylko kilku morderstw – był zatrudniony w zakładach zbrojeniowych Mesko i zaopatrywał grupę w broń i amunicję. Poszedł na współpracę z policją i opowiedział o szczegółach zbrodni. Tym samym pogrążył Grzesika. Opłaciło mu się pójście na układ. Dostał tylko 15 lat więzienia. Po latach w jego ślady poszedł Wojciech W. „Truskawa" nigdy nie przyznał się do żadnego przestępstwa.

Gdy trafił za kraty, rozpruł się worek z dowodami w sprawach jego zbrodni popełnionych na przestrzeni blisko 20 lat. Teczki prokuratorów pęczniały niczym akta Epsteina. Grzesikowi udowodniono udział w 17 zabójstwach (w tym w potrójnym na parkingu pod Cedzyną). Zapewne nie jest to pełny obraz jego dokonań.

„Truskawa" odpowiadał w trzech procesach. Dostał jeden wyrok 25 lat więzienia i dwa dożywocia. Najprawdopodobniej nigdy nie wyjdzie na wolność. ■



DLACZEGO **ZABIJAŁ?**

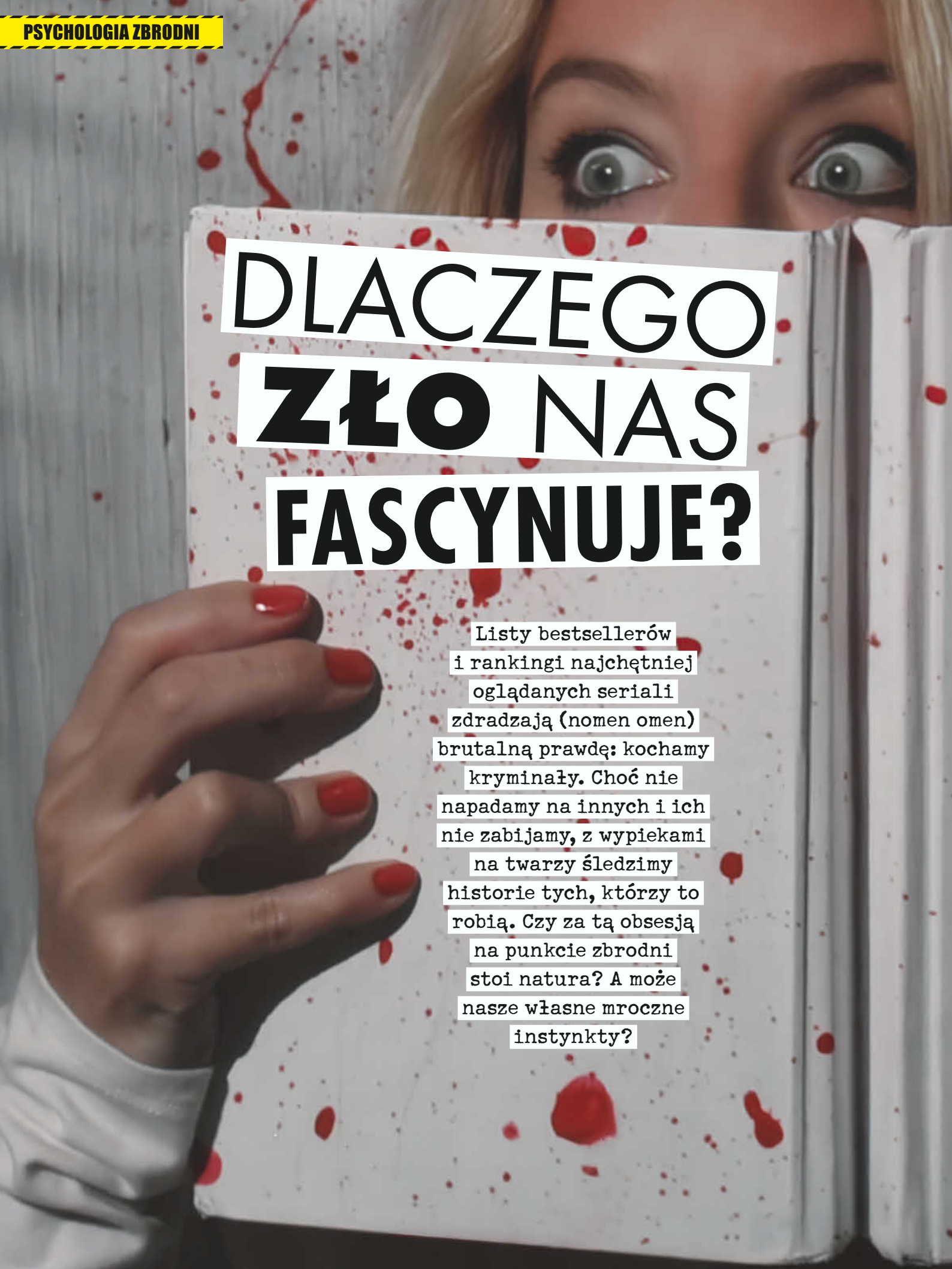
Grzesik rzadko mordował osobiście. Przeważnie stał z tyłu, a mokrą robotę wykonywali jego ludzie. On planował zbrodnie i nakazywał wspólnikom pociągnięcie za spust. Dlatego gdy w śledztwach oskarżano go o zabójstwa, reagował oburzeniem, twierdząc, że bezpośrednio nie zabijał, nie ma krwi na rękach. Niewykluczone, że usprawiedliwiając się w ten sposób, oszukiwał również swoje sumienie.



OSTATNI ŁUP **KANTOROWCÓW**

Zapadał mrok, siąpił deszcz, był przenikliwy ziąb. Kto nie musiał, nie wychodził z domu, a to idealne warunki dla bandytów. Do zbrodni w Myślenicach doszło przed domem ofiar, kiedy właściciel punktu wymiany walut i jego syn wysiedli z samochodu. Mordercy już na nich czekali. Po zabójstwie zabrali im saszetkę z pieniędzmi i uciekli (na zdj. policyjni technicy pracujący na miejscu zbrodni). To była ostatnia akcja „Truskawy".

TEKST: Mariusz Gadomski
ZDJĘCIA: Wojciech Olkusnik/East News; Jacek Bednarczyk, Piotr Polak, Michał Walczak/PAP (3); Adobe Stock (8); Wikimedia Commons



DLACZEGO ZŁO NAS FASCYNUJE?

Listy bestsellerów i rankingi najchętniej oglądanych seriali zdradzają (nomen omen) brutalną prawdę: kochamy kryminały. Choć nie napadamy na innych i ich nie zabijamy, z wypiekami na twarzy śledzimy historie tych, którzy to robią. Czy za tą obsesją na punkcie zbrodni stoi natura? A może nasze własne mroczne instynkty?

WIECZNE OFIARY?

Choć statystycznie częściej sprawcami i ofiarami brutalnych przestępstw są mężczyźni, to kobiety chętniej wybierają kryminały i programy typu true crime. Jak wykazały badania dr Amandy Vicary, stoi za tym chęć dowiedzenia się, jak uniknąć potencjalnego ataku. Dla pań jest to zatem swego rodzaju próba generalna. Jednak psychologowie kliniczni wskazują na drugą, mroczną stronę medalu: poprzez nieustanną konsumpcję takich treści kobiety internalizują rolę ofiary, przez co mogą czuć się permanentnie zagrożone i dostrzegać znaki ostrzegawcze tam, gdzie wcale ich nie ma.

Po długim dniu ciężkiej pracy siadasz na kanapie z kubkiem herbaty. Marzysz tylko o tym, by się zrelaksować, więc zamiast programu informacyjnego, podającego wiadomości o toczących się na świecie wojnach, śmiertelnych wypadkach i brutalnych przestępstwach, włączasz... ociekający krwią serial kryminalny albo obfitujący w drastyczne szczegóły podcast o prawdziwych zbrodniach. Brzmi nielogicznie? Nic bardziej mylnego! Jak dowodzą naukowcy, nasza fascynacja złem i trudna do racjonalnego wytłumaczenia miłość do seryjnych morderców jest całkowicie naturalna.

MORDERSTWO NA DOBRANOC

Według najnowszego raportu Biblioteki Narodowej o stanie czytelnictwa w Polsce wśród rozmaitych gatunków najliczniejszą publiczność ma literatura sensacyjno-kryminalna – sięga po nią niemal 1/3 Polaków deklarujących, że czytają książki. Również w rankingach najpopularniejszych podcastów, filmów i seriali na platformach streamingowych niezmiennie królują produkcje poświęcone bestialskim zbrodniom i próbującym złapać ich sprawców detektywom. Dlaczego?

– Lubimy kryminały, ponieważ pozwalają nam na symboliczne wyładowanie tkwiącej w nas agresji. W pewnym stopniu każdy ma ją w sobie. I właśnie czytanie kryminałów zaspokaja naszą potrzebę rozładowania tej agresji – tłumaczyła podczas debaty zorganizowanej przez Uniwersytet Warszawski kryminolożka prof. Monika Całkiewicz.

Ale czytanie o brutalnych zbrodniach bądź oglądanie ich krwawych efektów na ekranie relaksuje nas nie tylko dlatego, że daje ujście dla naszych własnych „morderczych" instynktów. Zgodnie z teorią transferu pobudzenia emocjonalnego sięganie po kryminały umożliwia doświadczenie strachu w bezpiecznym środowisku. Zresztą z tego samego powodu zwalniamy, by popatrzeć na wypadek na autostradzie: nie chodzi tu o niezdrowy pociąg do makabry, lecz o „udomowienie" lęku. – *Przeżywanie lęku w kontrolowanych warunkach, na wygodnej kanapie, z filiżanką ulubionej herbaty w dłoni, pozwala naszemu układowi nerwowemu oswajać to uczucie i ćwiczyć radzenie sobie z nim* – mówi w rozmowie ze Światem Wiedzy psychoterapeutka i seksuolożka Krystyna Aleksandra Dudzis.

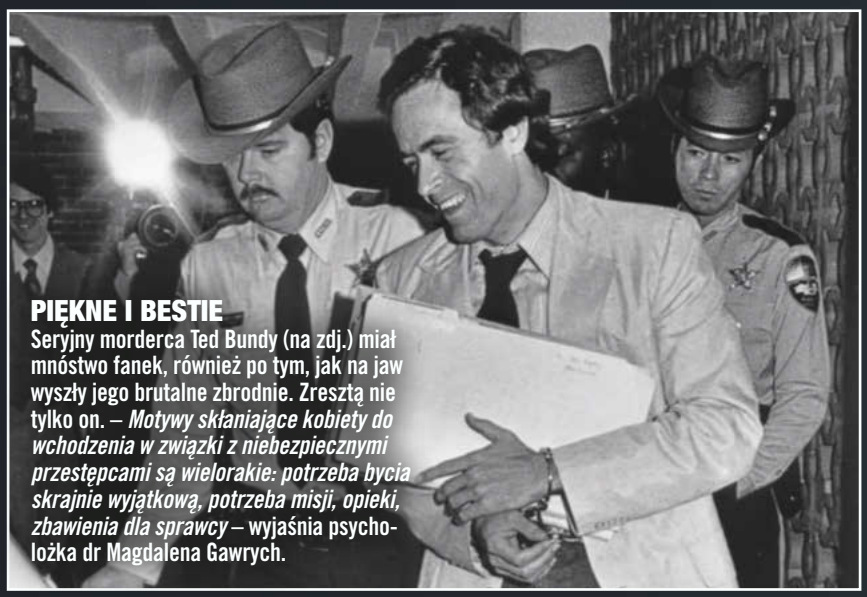
> „Fascynuje nas zło, ono jest wyrazistsze niż dobro. Zbrodnia nas fascynuje. To cecha ogólnoludzka"
>
> prof. MONIKA **CAŁKIEWICZ,** kryminolożka

Co dzieje się wówczas w naszym mózgu? Jako czytelnik lub widz doświadczamy wzrostu napięcia, co powoduje zwiększenie poziomu adrenaliny i kortyzolu (tzw. hormonów stresu) we krwi. Jednak po rozwiązaniu zagadki gwałtownie on spada, następuje natomiast wyrzut dopaminy (hormonu nagrody), a my odczuwamy ulgę połączoną z przyjemnością – ostatecznie stawiliśmy czoła zagrożeniu i wyszliśmy z tego bez szwanku. A że było ono tylko wyimaginowane? To już mało istotny szczegół.

Wreszcie: historie kryminalne zaspokajają naszą potrzebę moralnego porządku. Jak dowodzi psychologia poznawcza, lubimy wierzyć, że świat jest w jakiś sposób „sprawiedliwy", zaś zło zawsze zostaje ukarane. Kiedy widzimy, jak ofiara zostaje pomszczona, a sprawca staje przed sądem, łatwiej przekonać samego siebie, iż nic nam nie grozi – i spokojnie zasnąć...

BRUTALNA INSTRUKCJA PRZETRWANIA

Ale potrzeba zrelaksowania się po ciężkim dniu to niejedyny powód, dla którego sięgamy po kryminały. Psycholodzy ewolucyjni twierdzą, że tego rodzaju opowieści stanowią dla naszego mózgu swoistą szkołę przetrwania. Ponieważ kradzieże, gwałty i morderstwa towarzyszą ludzkości już od czasów pierwszych społeczności zbieracko-łowieckich, jesteśmy wyczuleni na wszelkie wykroczenia kryminalne. Instynktownie szukamy odpowiedzi na pytania: kto, jak i dlaczego zabił, by dowiedzieć się, co kieruje sprawcami brutalnych zbrodni – oraz w jaki sposób można przed nimi uchronić siebie i swoich bliskich. >

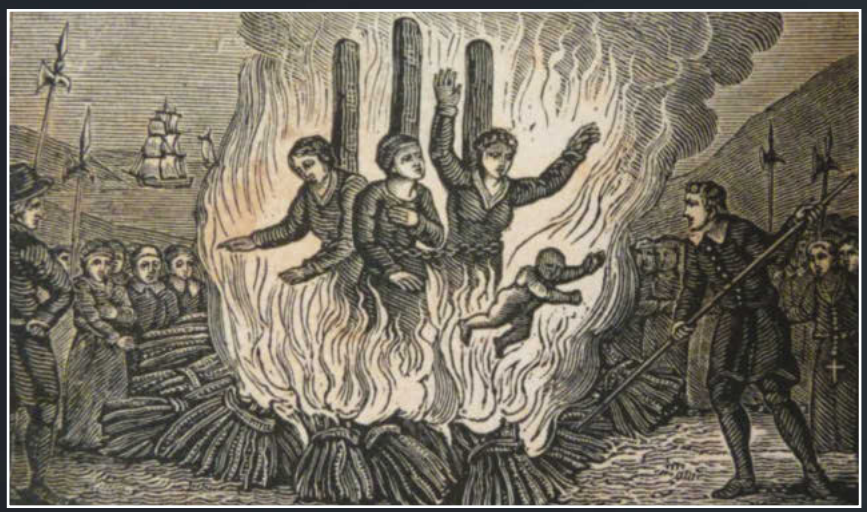


PIĘKNE I BESTIE
Seryjny morderca Ted Bundy (na zdj.) miał mnóstwo fanek, również po tym, jak na jaw wyszły jego brutalne zbrodnie. Zresztą nie tylko on. – *Motywy skłaniające kobiety do wchodzenia w związki z niebezpiecznymi przestępcami są wielorakie: potrzeba bycia skrajnie wyjątkową, potrzeba misji, opieki, zbawienia dla sprawcy* – wyjaśnia psycholożka dr Magdalena Gawrych.

Z tej samej przyczyny literatura, filmy, seriale czy podcasty kryminalne przyciągają raczej kobiety niż mężczyzn – w segmencie prawdziwych zbrodni stanowią one przeszło 70% odbiorców. Bynajmniej nie wynika to z niewieściej słabości do „złych chłopców". Owszem, istnieją panie, które nawiązują romantyczne relacje z przestępcami osadzonymi w więzieniach: amerykański seryjny morderca Ted Bundy podczas pobytu za kratami dostawał setki listów miłosnych, a w końcu poślubił jedną ze swoich fanek i miał z nią dziecko. Podobnie było w przypadku Charlesa Mansona, przywódcy sekty odpowiedzialnej za brutalne zabicie żony Romana Polańskiego, Sharon Tate, i jej przyjaciół w 1969 roku, czy Richarda Ramireza, nazywanego Nocnym Prześladowcą, który w latach 80. terroryzował Los Angeles.

– *Takie relacje najczęściej wynikają z ciekawości, samotności, idealizacji partnera, który np. w listach jawi się jako wymarzony, czuły kochanek. Dotyczy to często kobiet, które mają niskie poczucie wartości, doświadczyły już trudnych relacji, potrzebują silnych emocji itp.* – wyjaśnia Krystyna Aleksandra Dudzis. – *Część z nich fantazjuje o ocaleniu „tego złego", o sprowadzeniu go na dobrą drogę, realizują przy tym własną potrzebę bycia kimś wyjątkowym, ale też tą, która „zna jego prawdziwe ja"*.

Tymczasem badanie przeprowadzone w 2010 roku przez dr Amandę Vicary z Uniwersytetu Illinois Wesleyan wykazało, że kobiety chętniej sięgają po historie typu true crime, ponieważ chcą



„Kryminały to »bajki« dla dorosłych: oswajają nas z tym, że w życiu bywa niebezpiecznie. Że potwory naprawdę istnieją – i czasami mieszkają za ścianą"

KRYSTYNA ALEKSANDRA **DUDZIS,** psychoterapeutka

w nich odnaleźć... wskazówki, jak rozpoznać mordercę i – w razie potrzeby – uciec przed napastnikiem. Zdaniem psycholożki nie jest to przejaw chorobliwej ciekawości, ale mechanizm obronny: panie podświadomie szukają informacji o tzw. czerwonych flagach, bo to one statystycznie częściej padają ofiarą przemocy.

Z tego samego powodu są też bardziej skłonne do czytania i słuchania o zbrodniach popełnionych na innych przedstawicielkach własnej płci: utożsamiają się z bohaterkami i uczą na ich błędach. – *Doskonałym tego przykładem jest historia Abby Hernandez, porwanej przez Nathaniela Kibby'ego* – mówi Dudzis. – *Po dziewięciu miesiącach porywacz ją wypuścił. W wywiadach po odzyskaniu wolności nastolatka opowiadała, że oglądała programy typu true crime i czytała materiały o przestępstwach,*

TEKST: Maria Rojewska
ZDJĘCIA: Adobe Stock (3); Wikimedia Commons (2); mat. pras.

STARA MIŁOŚĆ NIE RDZEWIEJE
Upodobanie do makabry nie jest niczym nowym. W czasach, kiedy telewizja nie istniała, a umiejętność czytania była przywilejem dla nielicznych, miłość do zbrodni znajdowała ujście w oglądaniu publicznych egzekucji (na il.). W średniowieczu stanowiły one jedną z ulubionych rozrywek – i pełniły podobną funkcję jak współczesne seriale.



ZABÓJCZA WIEDZA
Abigail Hernandez miała zaledwie 14 lat, gdy w 2013 roku została uprowadzona. Nathaniel Kibby przetrzymywał ją przez dziewięć miesięcy, po czym... sam ją wypuścił. Nastolatka zdołała zdobyć zaufanie porywacza i przekonać go do jej uwolnienia m.in. dzięki wiedzy uzyskanej wcześniej z podcastów i artykułów o prawdziwych zbrodniach (powyżej: kadr z poświęconego tej sprawie filmu *Girl in the Shed: The Kidnapping of Abby Hernandez*).

co, jak sama stwierdziła, pomogło jej zachować spokój i myśleć strategicznie, gdy była więziona. W przeciwieństwie do kobiet mężczyźni lubujący się w kryminałach stosunkowo rzadko motywowali swój dobór lektur chęcią zdobycia praktycznej wiedzy o potencjalnych zagrożeniach.

MAKABRESKA DLA NEURONÓW

Miłość do opowieści o (niekoniecznie prawdziwych) zbrodniach miewa też całkiem niewinne podłoże. Otóż stanowią one doskonałą formę pobudzenia intelektualnego. – *Lubimy łamać sobie głowę nad kryminalną zagadką, odczuwamy satysfakcję, jeżeli podczas lektury uda się nam odgadnąć sprawcę, jesteśmy nieprzyjemnie zaskoczeni, jeśli nam się to nie uda* – tłumaczyła prof. Całkiewicz. Kiedy podążamy za śledztwem na kartach książki lub ekranie, próbując rozwikłać sprawę, zanim zrobią to fikcyjni detektywi, angażujemy w mózgu obszary kory przedczołowej odpowiedzialne za dedukcję. A gdy wpadamy na poprawne rozwiązanie, na scenę ponownie wkracza dopamina, która nagradza nas za „pracę operacyjną" uczuciem satysfakcji.

Zdarza się jednak, że konsumpcja makabrycznych treści przynosi opłakane skutki. Już na początku lat 70. prof. George Gerbner zauważył, że telewizja, będąca wówczas dla wielu osób głównym źródłem informacji i rozrywki, za sprawą popularnych seriali detektywistycznych oraz wiadomości o przemocy, różnorakich kataklizmach i tragediach powoduje u widzów drastyczne obniżenie poczucia bezpieczeństwa. Naukowiec określił to zjawisko „syndromem podłego świata".
Współcześnie dotyka ono także zapalonych odbiorców kryminałów. W efekcie np. przeceniają oni skalę zagrożenia. Potwierdzają to statystyki: choć dane policyjne dowodzą, że ogólna liczba czynów karalnych z użyciem przemocy systematycznie spada (w 2025 roku w Polsce popełniono ich dwukrotnie mniej niż 20 lat wcześniej), badania opinii publicznej wskazują, że zdaniem wielu osób przestępczość rośnie. A zatem zamiast oswajać nas z lękiem, historie o zbrodniach tylko go wzmagają. Cóż, nie od dziś wiadomo, że co za dużo, to niezdrowo... ■



NETFLIX AND CHILLS
– *Kryminały są trochę jak szczepionka uodparniająca przeciw realności zła, które może nas dotknąć* – mówi psychoterapeuta Piotr Pietucha. Dlatego seriale detektywistyczne, thrillery i dokumenty oraz paradokumenty poświęcone prawdziwym zbrodniom od lat królują na listach najchętniej oglądanych gatunków na platformach streamingowych.

DWIE TWARZE

W struktury mafii, gangu czy siatki przemytników może przeniknąć wyłącznie policjant z tzw. legendą, czyli fikcyjną biografią. Przykrywkowcy podejmują niebywale ryzykowną grę – nie tylko z przestępcami, ale i z własną psychiką.



ZAB

GAN

Spowiedź pol



BYŁEM ÓJCĄ, BYŁEM GSTEREM

icyjnego przykrywkowca

To nie film, a rzeczywistość – brudna i pokraczna. Pełna narkotyków, alkoholu, wizyt w domach publicznych i u producentów amfetaminy. To rzeczywistość lewych interesów, skorumpowanych strażników granicznych, policjantów i sędziów. Przemytników, płatnych zabójców i zwykłych oprychów. W przestępczym półświatku przełomu wieków obracał się niejaki „Zwierzak", funkcjonariusz Centralnego Biura Śledczego Policji. Był przykrywkowcem. Pod fikcyjną tożsamością rozpracowywał m.in. gang „Krakowiaka".



Jerzy H., pseudonim „Zwierzak"

Najsłynniejszy polski przykrywkowiec miał wiele wcieleń – udawał m.in. płatnego mordercę i przemytnika. Był tak bardzo wiarygodny, że w pewnym momencie gangsterzy aresztowanego „Krakowiaka" chcieli go zrobić swoim nowym szefem.

WYWIAD

Jak wyglądała praca najsłynniejszego polskiego tajniaka?

Był Pan płatnym mordercą?
Tak. Spraw zleceń zabójstwa miałem kilka. Wszystkie dotyczyły zemsty na nielojalnym i nieuczciwym wspólniku od interesów. Łódzka historia z uwagi na medialny charakter „łowców skór" była najgłośniejsza.

W czasach tamtej afery zgłosił się do Pana łódzki biznesmen, który poszukiwał wykonawcy zabójstwa na konkurencie. Jak to jest wcielić się w płatnego mordercę? Przygotowywał się Pan do tej roli? Może wzorował na jakimś polskim „kilerze"?
Nie. Tu nie ma żadnej reguły. To nie jest tak, że zabójca to musi być smutas, ponurak, człowiek zimny, małomówny – jak choćby filmowy Leon zawodowiec. Płatni mordercy to są „zwykli" ludzie, o których nigdy by Pan nie pomyślał, że mogą kogoś zabić. Za niektórych nie dałby Pan nawet pięciu groszy.

To ile kosztuje ludzkie życie?
Zależy od „głowy", czyli od osoby, którą trzeba zabić. To zlecenie, które miałem w Łodzi, przyjąłem za 50 tysięcy złotych. Oczywiście mówimy o sytuacji sprzed kilkunastu lat. To miało być 25 tysięcy zaliczki i 25 tysięcy po „robocie". Cena jest ustalana indywidualnie. Liczą się też poniesione koszty i czas. Delikwenta trzeba wyśledzić, sprawdzić jego nawyki, oczywiście zakupić odpowiedni sprzęt, przygotować drogi ucieczki. Jeśli „głowa" jest duża, to należy wziąć takie pieniądze, żeby uciec z Polski. Ukryć się na krócej albo dłużej, aż sprawa przycichnie. Z drugiej strony bywają i tacy, co potrafią zabić za 50 euro.

Pana rola mordercy była przykrywką. Służyła temu, aby zatrzymać i postawić przed sądem człowieka, który zlecił zabójstwo. Zresztą na różnych etapach sprawy wielokrotnie Pan go pytał, czy podtrzymuje chęć realizacji zlecenia, a on potwierdzał, nieświadomy, że mówi to policjantowi. Jak jednak szuka się „kilera"? Czy trzeba mieć znajomości w przestępczym światku?
No tak. Polega to na tym, że ktoś, kto chce „odstrzelić" konkretną osobę, wypytuje delikatnie. Jeśli zna kogoś z „miasta", to ten znajomy pokieruje go dalej. I tak informacja się niesie. Jest to zresztą ryzykowne. W grupach przestępczych są ludzie stricte od takiej roboty.

W kilkunastoletniej karierze przykrywkowca przyjmował Pan różne legendy, czyli fikcyjne tożsamości. Kim Pan był oprócz płatnego mordercy?
Rozpracowując gang „Krakowiaka" na Śląsku, podawałem się za przestępcę, który prowadzi „biznesy" z gangsterami ze wschodu: Białorusi, Ukrainy. Wschodnią legendę ułatwiało mi to, że świetnie znam język rosyjski. Dla uwiarygodnienia odwiedzali mnie „wspólnicy" – a tak naprawdę tamtejsi przykrywkowcy. Ludzie, którzy byli moim celem, czyli mafiozi od „Krakowiaka", byli pod kolosalnym wrażeniem. Skutecznie wyrobiłem sobie markę twardego zawodnika, który obraca się w konkretnym towarzystwie. Do tego stopnia byłem wiarygodny, że kiedy „Krakowiak" trafił za kraty, to mnie chcieli przekazać przywództwo w grupie! Tak się właśnie robi legendę. Fikcyjni gangsterzy ze wschodu, przyjeżdżając tu, budowali mi przestępczą tożsamość, ale i ja, utrzymując kontakty z nimi, robiłem to samo dla nich. Współpracowaliśmy zresztą ze służbami wielu krajów, m.in. Niemiec, Holandii czy państw skandynawskich.

Tak, ale miał Pan również „nieprzestępcze" legendy...
Zgadza się. Przecież musiałem mieć jakąś tożsamość. Nie mogłem powiedzieć: „Hej, nazywam się »Zwierzak«. Jestem z CBŚ". Miałem więc fikcyjne nazwisko. Wymyślono mi całą biografię, którą musiałem opanować ze szczegółami. Znałem nie tylko ulicę, przy której był mój rzekomy rodzinny dom, ale nawet nazwiska nauczycieli z miejscowej szkoły! Wiedziałem, kto mnie uczył matmy, a kto polskiego, która pani belfer była „kosą", a która była łagodna. Wszystko po to, by mieć jak najbardziej rozbudowaną legendę i nie dać się złapać na kłamstwie. >

> Płatni mordercy to są »zwykli« ludzie, o których nigdy by Pan nie pomyślał, że mogą kogoś zabić





NA WOLNOŚCI

„Zwierzak" infiltrował grupę Janusza T. „Krakowiaka" (na zdj.). W 2019 roku gangster został skazany na 15 lat więzienia i... od razu wyszedł na wolność, bo sąd na poczet kary zaliczył mu czas spędzony w areszcie. Uważa się, że w ostatniej dekadzie XX wieku jego ludzie – odpowiedzialni za kradzieże, napady i rozboje – tworzyli najbrutalniejszy gang w Polsce.

Z kolei w „dorosłym" życiu podawałem się za właściciela zakładu fotograficznego. Zresztą faktycznie go prowadziłem, oczywiście pod nieprawdziwym nazwiskiem. Miałem siedzibę, płaciłem podatki, zatrudniałem pracowników. Legendy przygotowuje się bardzo dokładnie. Śmiałem się kiedyś z kolegą, że dzięki przykrywkowcom rośnie liczba mieszkańców Polski – oczywiście tylko na papierze.

Został Pan skierowany do rozpracowania słynnego gangu „Krakowiaka". Jak udawało się Panu przeskoczyć mentalnie z normalnego środowiska do półświatka, rządzącego się swoimi zasadami? Przecież nie miał Pan żadnego przycisku w głowie, który by to ułatwiał.

Przycisku może nie, ale faktycznie – człowiek musi tak psychikę nastawić, żeby zapomnieć o swojej osobowości i stać się kimś innym. Wchodząc w ten światek, po prostu zmieniałem się w jednego z nich.

Czyli podając się za przemytnika ze wschodu, rzeczywiście Pan przemycał jakiś towar: lewy alkohol, narkotyki?

Owszem. Dla uwiarygodnienia się musiałem. Przemycało się to, co aktualnie „chodziło", na czym dało się zarobić: tytoń, alkohol, samochody, narkotyki...

A straż graniczna wiedziała, że w grupie jest przykrywkowiec?

Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Nie chciałbym ujawniać mechanizmów naszego działania.

Wywiad rzeka z Panem jest pełen opisów wizyt w agencjach towarzyskich, libacji alkoholowych, przemocy. Na ile musiał Pan przekraczać granice prawa lub moralności?

Dało się postępować tak, by jak najmniej się ubrudzić. Po latach mogę spojrzeć żonie i rodzinie w oczy, mimo że zdarzały się wizyty w burdelach. Co można było zrobić? Na przykład wziąć prostytutkę na górę, pogadać z nią, kupić jej cholernie drogiego drinka i tyle. Ona była zadowolona, bo zarabiała i nie musiała się wysilać. Owszem, alkohol lał się strumieniami, ale zawsze trzeba było mieć głowę sprawną,

> „Obowiązuje zasada: albo ty mnie, albo ja ciebie, ale nikt nie ma do nikogo żalu. Dałeś się podejść, twoja sprawa"



ROZMAWIAŁ: Marcin Moneta
ZDJĘCIA: urbazon/Gallo Images; Adobe Stock (2); Andrzej Grygiel/PAP; Shutterstock arch. (2); Marek Szczepański; mat. pras.

zachować trzeźwość umysłu. Były i narkotyki. Ja od nich stroniłem. „Krakowiak” w ostatnim okresie przed zatrzymaniem mocno z nimi przesadzał. Interesowało go ćpanie, kasyna, ale już nie swoi ludzie. Nie dbał o nich tak jak wcześniej. Mało płacił. Nie zapewniał ochrony jak kiedyś, gdy odkładał na fundusz dla adwokatów, na wypadek gdyby któryś z chłopaków wpadł. Dlatego po zamknięciu „Krakowiaka” to we mnie dojrzeli nowego lidera.

A miał Pan sytuacje, gdy było blisko do tego, by Pana rozszyfrowano?

Nie, nigdy. Co więcej, kiedy były jakieś zatrzymania, zawsze chłopaki mnie kryli. Wypierali się znajomości ze mną, byle mnie nie „wsypać”. Nie mieli pojęcia, że jestem policjantem.

Musiał Pan łamać prawo – brać udział w akcjach, strzelaninach?

O łamaniu prawa nie chcę mówić. Co do strzelanin – nigdy nie musiałem używać broni. Natomiast zdarzały się bójki. Trzeba było swój autorytet podtrzymać, gdy ktoś mnie obraził czy w jakiś sposób zachował się nie w porządku wobec mnie bądź mojego kumpla. Niejednokrotnie pięści szły w ruch.

Jakby Pan ogólnie określił ludzi, którzy tworzyli ten przestępczy światek?

Byli różni, ale naprawdę często nic sobą nie reprezentowali. Taką drogę wybierają zazwyczaj osoby bez specjalnych perspektyw i nieskłonne do pracy. Ktoś bez wykształcenia, kto w normalnej robocie dostałby ze dwa tysiące złotych za sprzątanie ulicy, woli zrobić skok – i w jeden dzień zdobyć tyle, ile zarobiłby przez rok. Jeśli na przykład kilogram kokainy kupowało się u producenta za 60–80 tysięcy, a sprzedawało za 160 tysięcy, to mamy 100 tysięcy przebicia. To po co ja mam iść do tej fabryki i tam walić młotkiem za grosze? To była łatwa kasa. Tyle że mało komu udawało się z tego wyjść. Dawali się wciągnąć. Zarabiali dużo i chcieli więcej.

A ile prawdy jest w filmach opisujących świat przestępczy i policjantów działających pod przykryciem?

To zależy. Zdarzają się obrazy rzeczywiście wiarygodne. Polecam zwłaszcza film *Donnie Brasco* Mike’a Newella. Na jego podstawie uczono pracy przykrywkowej funkcjonariuszy FBI. Świetnym przykładem jest też *Infiltracja* Martina Scorsese.

Czy po publikacji Pańskiej książki dotarły do Pana jakieś reakcje od ludzi z dawnego półświatka? Może od samego „Krakowiaka”, który wyszedł z więzienia w 2019 roku?

Nie, nie miałem tej wątpliwej przyjemności, natomiast dostałem kilka opinii od osób, które wówczas należały do „miasta”, aczkolwiek ja się nimi nie zajmowałem. Wszystkie były pozytywne. Usłyszałem, że odwaliłem kawał dobrej roboty. Czy spotkałem się z wyrzutami, że byłem przykrywkowcem? Nie. Tam obowiązuje zasada: albo ty mnie, albo ja ciebie, ale nikt nie ma do nikogo żalu. Dałeś się podejść, twoja sprawa. Wiadomo, że są gangusy i są psy. Taki jest tamten świat. I nie ma się co obrażać. ■



WARTO PRZECZYTAĆ

O kulisach przestępczości zorganizowanej w Polsce przeczytasz w wywiadzie rzece przeprowadzonym przez Mateusza Baczyńskiego i Janusza Schwertnera *Zwierzak. Spowiedź policyjnego przykrywkowca*, 400 stron, 42,99 zł.





ZA KULISAMI

Przebywając wśród gangsterów, trzeba zachowywać się jak gangster – również „po godzinach”. Dlatego „Zwierzak” brał udział w libacjach alkoholowych i eskapadach do burdeli. Jak przyznaje, starał się przy tym postępować tak, by jak najmniej się ubrudzić.

W XIX wieku rosyjscy złodzieje uczynili z życia na marginesie społeczeństwa cnotę. Czuli się elitą wśród przestępców, mieli swój kodeks moralny i tajny język. Dziś niezłomność worów jest tylko legendą, za to ich przywódcy pławią się w carskim przepychu. Pod warunkiem, że są przydatni Kremlowi.

WORY W ZAKONIE

OJCOWIE CHRZESTNI ROSYJSKIEJ MAFII

SPEKTAKL ZBRODNI

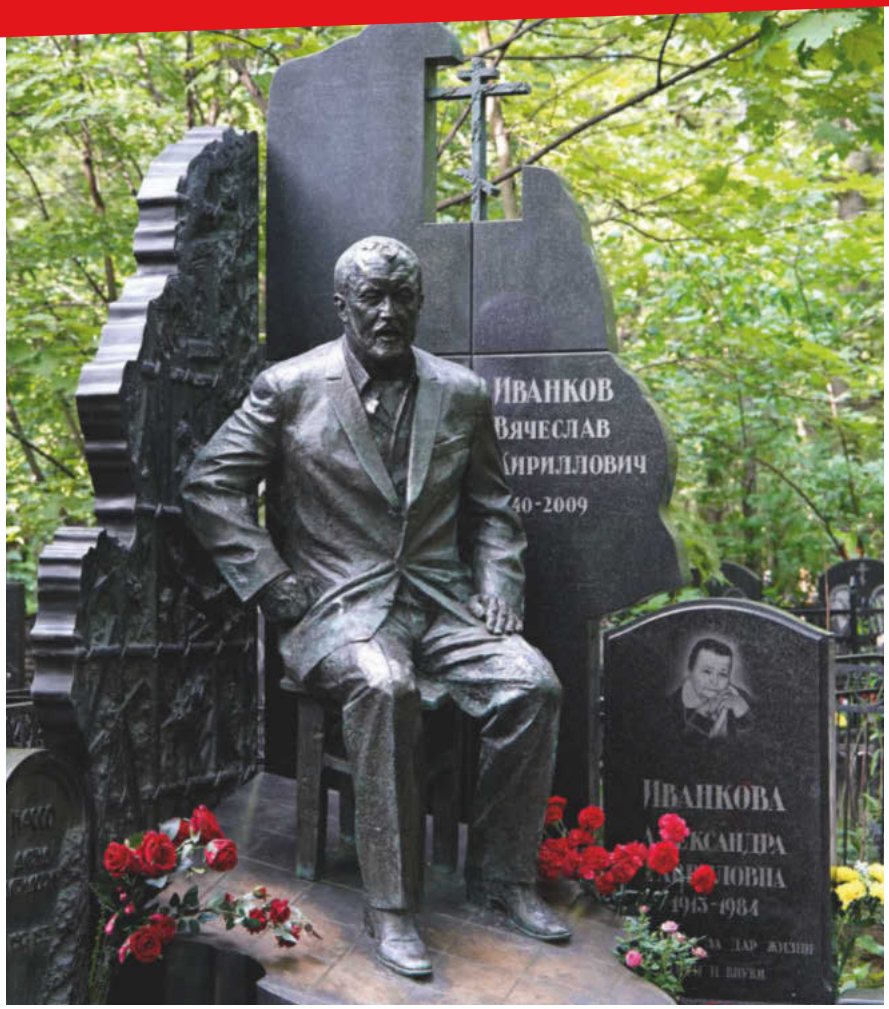
Na wojnę ze zorganizowaną przestępczością Rosja posyła elitarne jednostki wojskowe, które jako jedyne mają dostęp do nowatorskiej broni – np. do niemal bezgłośnego karabinu snajperskiego WSS Wintoriez (na zdj.). Niekiedy jednak oddziały specjalne nie atakują z otwartą przyłbicą, a mafijni bossowie giną w zamachach upozorowanych na gangsterskie porachunki...



BRZEMIĘ PRZESZŁOŚCI

W czasach prezydentury Borysa Jelcyna pospolici przestępcy dorobili się niebotycznych majątków. Dzięki zdobytym w nielegalny sposób fortunom byli złodzieje wkroczyli na salony, ukrywając więzienne tatuaże pod ubraniami luksusowych marek odzieżowych. Niektórzy, w obawie przed zemstą „partnerów biznesowych" lub uciekając przed wymiarem sprawiedliwości, musieli wyemigrować do Wielkiej Brytanii (obok fragment plakatu filmu w reżyserii Davida Cronenberga *Wschodnie obietnice*, opowiadającego o rosyjskiej mafii w Londynie).

Gdy Wiaczesław Iwankow wyszedł z restauracji, towarzyszyła mu grupa ochroniarzy. Nagle szef braci sołncewskiej upadł. Nie, wcale się nie potknął. W ciągu kilku sekund krew „Japończyka" zalała płyty chodnikowe. Nikt nie usłyszał trzech wystrzałów. Do zabicia przywódcy jednej z najgroźniejszych mafii świata zamachowiec użył bowiem niemal bezgłośnego karabinu snajperskiego WSS Wintoriez – broni zarezerwowanej dla członków elitarnego specnazu. Podobno 13 października 2009 roku, wraz ze śmiercią Iwankowa, symbolicznie zakończyła się era prawdziwych worów w zakonie. To nie do końca prawda. Pospolici przestępcy i bossowie rosyjskiego podziemia sprzedali się władzy dużo, dużo wcześniej… >



SAMI PRZECIW WSZYSTKIM

Po upadku żelaznej kurtyny mafia rosyjska stała się globalną marką – niczym szwajcarskie zegarki czy francuskie wina. Jak „potomkowie" społecznych wyrzutków z epoki carów stworzyli „produkt" znany pod niemal każdą szerokością geograficzną? Drobiazgowe śledztwo w tej sprawie przeprowadził brytyjski historyk prof. Mark Galeotti, autor książki *Wory. Tajemnice rosyjskiej supermafii*.

Geneza siejących grozę „zakapiorów" sięga moskiewskiej Chitrowki oraz innych dzielnic biedy, do których w XIX stuleciu przybyły w poszukiwaniu pracy i szczęścia miliony chłopów. Tworzyli pod przewodnictwem „starszego" brygady robocze zwane artelami, składające się nierzadko z mężczyzn pochodzących z tej samej wioski. Choć harowali kilkanaście godzin na dobę, i tak przymierali głodem. Coraz częściej opuszczali więc getta i wkraczali do dzielnic bogaczy, by łamać siódme przykazanie. „Starszy", który w dzień kierował pracą na budowie, w nocy planował akcje, dzielił łupy czy pilnował przestrzegania zwyczajowego kodeksu szajki. Zasady, jakimi przestępcy kierowali się na wolności, z czasem przeniknęły za mury zakładów karnych. Tak powstała subkultura worów – zawodowych złodziei.

Wspólnota losów spowodowała, że stworzyli oni w więzieniach hermetyczną grupę. Co prawda z czasem wyrok inny niż za kradzież już nie dyskredytował „kandydata", lecz niełatwo było do niej przystać – tym bardziej że pod koniec XIX stulecia jej członkowie zaczęli posługiwać się mową niezrozumiałą dla postronnych. Składały się na nią m.in. zapożyczenia z gwary żebraków, żargonów zawodowych, języków obcych (w tym jidysz) i słów rosyjskich o nowym znaczeniu. Funkcjonowało też „pismo obrazkowe" – tatuaże. Miały one kilka funkcji. Po pierwsze, podkreślały sprzeciw wobec norm społecznych (stąd nagie Matki Boskie czy anioły oddające się miłości francuskiej). Po drugie, skóra wora stanowiła jego CV. Konkretne wzory mówiły, czym dana osoba się zajmuje oraz jakie ma miejsce w hierarchii (świadczyły o tym – podobnie jak w polskiej subkulturze więziennej – umieszczone na ramionach „pagony"). Jeszcze w latach 30. XX wieku wor z nienależnym mu tatuażem w najlepszym razie był zmuszony do jego usunięcia, np. przez wycięcie kawałka skóry. W najgorszym – zabijany.

Dołączając do „bractwa", adept otrzymywał kliczkę. Był to przestępczy pseudonim symbolizujący rozpoczęcie nowego życia. Życia, którego najważniejszym dogmatem był zakaz współpracy z przedstawicielami państwa.

Kodyfikacji złodziejskiego prawa (ros. worowskoj mir) pomogło powstanie gułagów – według Anny Applebaum tylko w dobie stalinowskiej przebywało w nich blisko 29 milionów ludzi. Wykształciła się wtedy instytucja wora w zakonie (złodzieja respektującego zasady), odpowiednika „starszego" z czasów artelów. Pilnował on przestrzegania reguł, ale też przekazy-

OSTATNI SPRAWIEDLIWY?

Wiaczesław Iwankow (na zdj. jego nagrobek) uważany jest za ostatniego prawdziwego wora w zakonie – człowieka będącego niekwestionowanym autorytetem dla świata przestępczego. Ktoś jednak ewidentnie nie darzył go szacunkiem, gdyż „Japończyk" (pseudonim nadano mu ze względu na charakterystyczne skośne oczy) zmarł 13 października 2009 roku w wyniku ran, jakie odniósł podczas zamachu przeprowadzonego parę dni wcześniej. Według popularnej teorii był on ofiarą wojny między mafią sołncewską, której przewodził, a gangami czeczeńskimi. Ale pewne tropy wskazują, iż zgoda na skrytobójczy atak zapadła na najwyższych szczeblach władzy...

„Bądź przydatny dla Kremla, a Kreml przymknie na ciebie oko”

prof. Mark Galeotti

wał wiedzę o przestępczym fachu. Symbolem jego statusu były wytatuowane pod obojczykami gwiazdy.

NOWE CZASY, NOWE ROZWIĄZANIA

Najtwardszych worów nazywano błatnymi albo urkami. Byli oni przekleństwem więźniów politycznych: zabierali im jedzenie i odzież, wyrzucali z cieplejszych baraków, katowali, gwałcili. Jednak z czasem coraz więcej błatnych porzucało worowskoj mir i w zamian za profity – lżejszą pracę czy większe racje żywnościowe – decydowało się na konszachty z administracją obozu. Zdradę ideałów tłumaczyli pragmatyzmem: współpracując z wrogiem, wodzili go za nos, czerpiąc z tych kontaktów wymierne korzyści. A przynajmniej tak im się wydawało.

Na przełomie lat 40. i 50. XX wieku w otoczonym drutem kolczastym „archipelagu” wybuchła wojna z „sukami” – wtrąconymi do gułagów żołnierzami. Potajemnie wspierani przez władzę byli czerwonoarmiści zwyciężyli z błatnymi krwawą batalię o przyszłość przestępczego świata. Co prawda kodeksu worów wciąż przestrzegali ci, którzy uniknęli więzienia, ale w latach 60. i 70. powstałe po II wojnie światowej gangi zostały rozbite. Wory wciąż jednak działali na „lokalnych podwórkach”. Nie brakowało im pomysłów na zarobek – np. w Moskwie namówili emerytowanego szulera, by nauczył fachu młode pokolenie. Funkcjonująca w podziemiu „szkoła” wkrótce wypuściła zastępy oszustów o różnych specjalizacjach. I tak tzw. jeźdźcy pracowali w ruchomych „kasynach” (w karty grano w przemieszczających się po stolicy taksówkach), a najzdolniejsi organizowali dla hazardzistów specjalne przybytki (np. w prywatnym mieszkaniu lub na zapleczu lokalu gastronomicznego).

Skoncentrowanie się władz ZSRR na próbie odbudowania gospodarki wyniszczonej wyścigiem zbrojeń z Zachodem spowodowało, że pod koniec rządów Leonida Breżniewa gangi znów zaczęły rosnąć w siłę. Często powstawały one z połączenia band pochodzących z jednego podwórka albo ulicy. Na ich czele nierzadko stawali recydywiści, jak np. w Kazaniu, gdzie Siergiej Antipow przewodził ok. 200 ludziom. Przez parę lat wygrywał walkę o wpływy, ale w pewnym momencie poczuł się zbyt pewnie – w sierpniu 1978 roku 50 osiłków uzbrojonych w pistolety i łomy zaatakowało przechodniów w dzielnicy, którą miała „pod opieką” konkurencyjna grupa. W efekcie tej „pokazówki” zginęła jedna osoba, a 10 innych (w tym dwóch milicjantów) zostało rannych. Był to ostatni „wybryk” chłopców Antipowa – dwóch skazano na śmierć, a kilkudziesięciu trafiło za kraty...

Kolejną erę worów zapoczątkowała pierestrojka. Oprócz reform gospodarczych Michaił Gorbaczow przeprowadził bowiem krucjatę antyalkoholową, która przyniosła podobny skutek co prohibicja w USA – nielegalny handel trunkami. Żyłą złota okazała się też uwolniona prywatna inicjatywa: gangi wchodziły razem z drzwiami do przedsiębiorców, by złożyć im propozycję „ochrony” (opłata wynosiła zazwyczaj 20–25% dochodów firmy). Pogrążone w chaosie państwo miało inne priorytety niż walka z kryminalistami terroryzującymi obywateli, zaś otrzymujący głodowe pensje milicjanci z wdzięcznością przyjmowali łapówki za umarzanie śledztw z powodu niewykrycia sprawców.

NAJPOTĘŻNIEJSZA MAFIA ŚWIATA

W czasach, gdy na Kremlu zasiadał Borys Jelcyn, Rosja była dla bandytów eldoradem. Co bardziej obrotni, którzy potrafili wykorzystać profity płynące z dzikiej prywatyzacji, niemal z dnia na dzień stawali się miliarderami – skrywając worowskie tatuaże pod koszulami z ekskluzywnych butików. Inni pozostali przy bardziej „tradycyjnych” zajęciach. Przykładowo Siergiej Butorin, który od 1994 roku przez pięć lat stał na czele gangu Oriechowo, zbieraniem haraczów narobił sobie tak wielu wrogów, że postanowił sfingować swoją śmierć. Kiedy urnę z jego doczesnymi „szczątkami” składano na cmentarzu, on już zajmował się nielegalnymi interesami w Hiszpanii. Chociaż poddał się operacji plastycznej, to zmieniony wygląd nie uchronił go przed aresztowaniem. >



SKUTKI UBOCZNE

Zasady złodziejskiego prawa (ros. worowskoj mir) zostały ujednolicone i rozpowszechnione, gdy powstały gułagi – ze względu na przepełnienie obozów oraz zapobieganie rodzącym się buntom, część osadzonych przenoszono w inne rejony kraju. W nowym miejscu pospolici kryminaliści uczyli „kolegów po fachu” kodeksu oraz przestępczych umiejętności (na zdj. więźniowie przy budowie Kanału Białomorsko-Bałtyckiego).

ŻYCIE JAK NA DŁONI

Tatuaże noszone przez wyznawców złodziejskiego prawa są unormowanym system znaków. Na skórze wory „spisują" swój życiorys, zaś dłonie stanowią odpowiednik wizytówki – której nie można zgubić ani zmienić umieszczonych na niej informacji (modyfikacje symboli natychmiast wzbudzają podejrzenia). Wystarczy więc rzut oka przy powitaniu, by wiedzieć, z kim ma się do czynienia. Co równie ważne, wytatuowana biografia jest niezrozumiała dla postronnych. Choć z czasem klawisze oraz funkcjonariusze organów ścigania poznali znaczenie poszczególnych wzorów, to przestępcy regularnie wymyślają nowe, by wiedza pozostała tylko w kręgu wtajemniczonych.





Znakiem wora był kot – nazwę zwierzęcia traktowano bowiem jako skrótowiec oznaczający: stały bywalec więzień (koriennoj obitatiel tiurmy)

„MIR" oznacza pokój. Ale tu jest to skrótowiec od: zresocjalizuje mnie rozstrzelanie (mienia isprawit rasstrieł)

Cztery wieżyczki strażnicze i ja (recydywista, który już był w więzieniu)

LUBA, imię dziewczyny

Symbol anarchisty

Każdy krzyżyk to jeden wyrok

Sierota, człowiek zdany tylko na siebie

Odwrócone „E" w koronie oznacza złodzieja ideowca – „janosika", który przewodzi grupie rabującej bogatych

Sądzony za rozbój

„PEGA" – przestępczy pseudonim

Narkoman



Te trzy wzory wykonywano pod przymusem – umieszczano je na dłoniach mężczyzn wykorzystywanych seksualnie



Skarabeusz miał zapewnić powodzenie przy popełnianiu przestępstwa oraz wyrażał nadzieję na znalezienie prawdziwej miłości

Odsiedział osiem lat, po czym wydalono go do Rosji. Tam Butorin ponownie trafił przed oblicze sądu. Za popełnienie 29 morderstw skazano go na dożywocie.

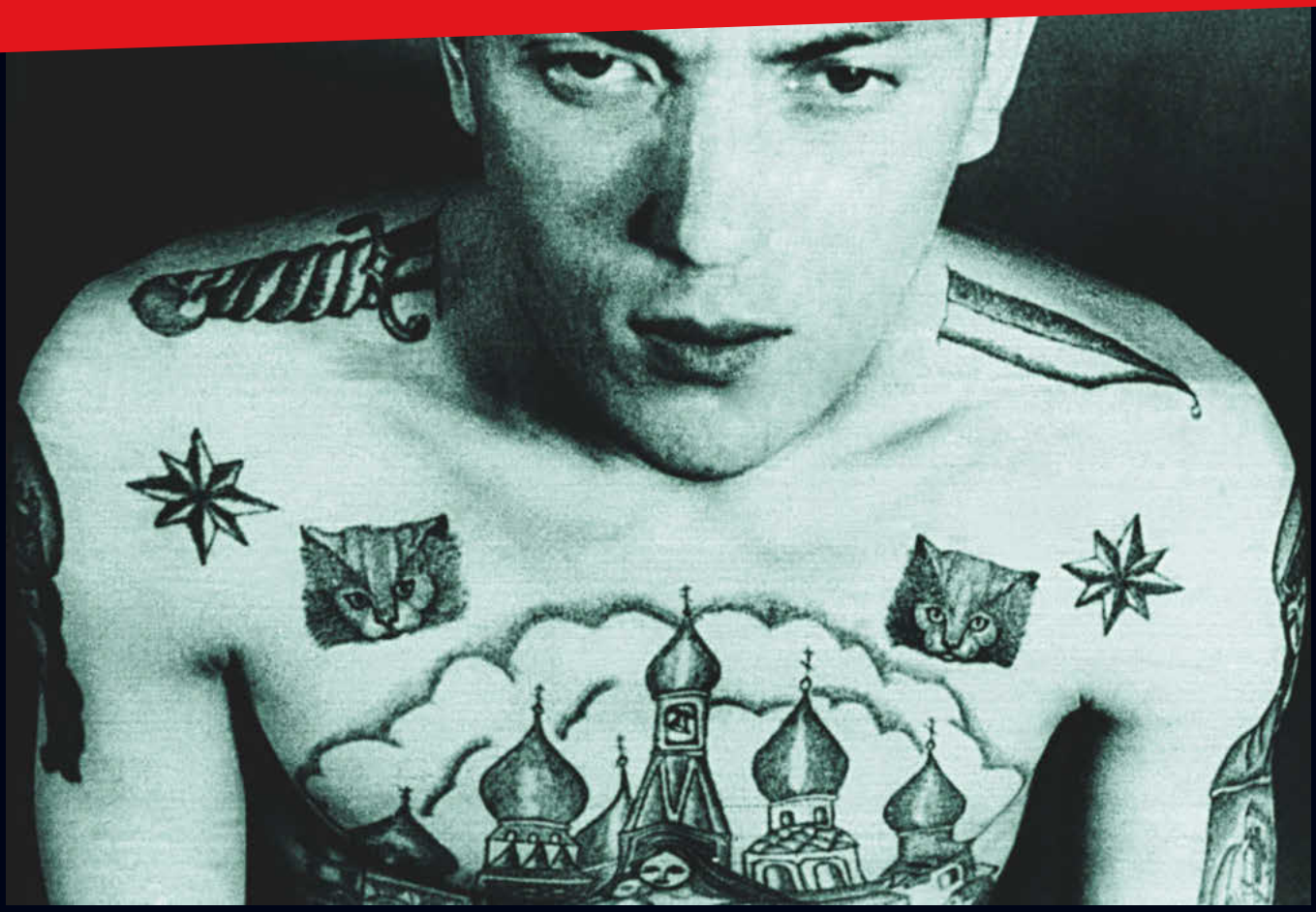
Gdy w 1999 roku Jelcyna zastąpił Władimir Putin, świat worów przeszedł kolejną rewolucję. Były oficer KGB szedł do wyborów z obietnicami walki z anarchią oraz budowy silnego państwa (choć w czasach, gdy pełnił funkcję wiceburmistrza Petersburga, regularnie spotykał się z przedstawicielami świata przestępczego, a zdaniem niektórych politologów do jego zadań należało utrzymywanie dobrych relacji z wpływowymi gangami). Poniekąd dotrzymał słowa – w trakcie jego prezydentury liczba przestępstw w Rosji znacząco spadła. Obywatele pogodzili się więc z istnieniem kasty, która stanęła ponad prawem.

Gwarancję nietykalności stanowi przestrzeganie żelaznej reguły, która według prof. Galeottiego brzmi: „Bądź przydatny dla Kremla, a Kreml przymknie na ciebie oko". Tak było z Saidem Amirowem, który od 1998 roku przez 15 lat był merem Machaczkały. Współpracujący z przestępczością zorganizowaną polityk przeżył co najmniej 12 zamachów na swoje życie, lecz nadal mógł liczyć na poparcie Moskwy. Parasol ochronny nad Amirowem ponoć zamknął się, gdy zlecił zabójstwo dyrektora oddziału Komitetu Śledczego Federacji Rosyjskiej. Fakt, że obstawę urzędnika stanowili dagestańscy bandyci, nie był tajemnicą, więc do jego zatrzy-

„Rosja staje się supermocarstwem przestępczości"

.....Borys Jelcyn w 1994 roku

TEKST: Miłosz A. Gerlich
ZDJĘCIA I ILUSTRACJE: Dmitry Feoktistov/Imago; Shutterstock; Pixabay; Wikimedia Commons (2); mat. redakcyjne/AI; Laski Diffusion/East News; mat. pras.



CV NA SKÓRZE

Co wiemy o mężczyźnie ze zdjęcia? Po pierwsze, że cieszy się wielkim autorytetem w świecie przestępczym. Gwiazdy umieszczone pod obojczykami to najbardziej charakterystyczny przykład tatuaży przysługujących wyłącznie worom w zakonie. Te same symbole, choć z mniejszą liczbą szczegółów, zwykle widnieją na kolanach zawodowych złodziei – i oznaczają, że ich posiadacz przestrzega najważniejszej zasady: nigdy nie ukląknie przed władzą ani nie będzie z nią współpracował (co obejmuje również zakaz ubiegania się o przedterminowe zwolnienie). Na ciele wora nie mogło także zabraknąć wizerunku kota, który symbolizuje przynależność do tej grupy. Imponujący tatuaż przedstawiający cerkiew wcale nie mówi, iż mężczyzna na fotografii deklaruje swoje przywiązanie do prawosławia – każda z kopuł wskazuje bowiem na odbytą przez niego odsiadkę. Widoczny na barkach sztylet to z kolei zapowiedź zemsty, jaką planuje na osobie, za sprawą której trafił za kraty.

mania oddelegowano jednostkę sił specjalnych, która otrzymała wsparcie… helikopterów bojowych oraz pojazdów opancerzonych.

SOJUSZ TRONU I ZAKONU

Policja szacuje, że obecnie w Europie może przebywać od 50 do nawet 300 osób o statusie wora w zakonie, głównie na południu i zachodzie kontynentu. Bywają również w Polsce – ponoć najczęściej odwiedzają Kraków i Warszawę. Jednak nasze służby działają: jak ujawniło w marcu RMF FM, od zeszłego roku zatrzymano sześciu kryminalnych bossów (Białorusina, Ukraińca i czterech Gruzinów). Część została już odesłana do swoich krajów, pozostali czekają w zamkniętych ośrodkach na zakończenie procedur administracyjnych. Czy uda się powstrzymać ich przed powrotem? Dziś w Rosji jest ok. 400 worów w zakonie. Ze swoimi poprzednikami z początku XX wieku mają niewiele wspólnego. Od dawna nie stoją na straży dogmatu o zakazie współpracy z władzą, przeciwnie: zazdrośnie strzegą kontaktów z dygnitarzami. Wbrew dawnemu kodeksowi nie żyją też w ascezie. Kiedy w 1996 roku przygotowywano pogrzeb obracającego miliardami dolarów „zakonnika" o pseudonimie „Dziad", na ceremonię składało się całe przestępcze podziemie – gdyż Wasilij Korża nie pozostawił po sobie żadnego majątku.

Inaczej wyglądało ostatnie pożegnanie wspomnianego Iwankowa. Ceremonię sfinansowała rodzina „Japończyka" – z przepychem godnym faraona. Jego szczątki złożono do trumny z klimatyzacją i oświetleniem. Mimo to zamordowany w 2009 roku szef braci sołncewskiej określany jest mianem ostatniego prawdziwego wora w zakonie – po nim już nikt nie był w stanie trzymać gangu żelazną ręką. Albo się nie odważył. Zamach z użyciem broni dostępnej wyłącznie elitarnym jednostkom specjalnym stanowił bowiem przesłanie: jeśli nie będziecie posłuszni, zabije was najpotężniejsza mafia świata. Ta z siedzibą na Kremlu... ■



53 116 760 FUNTÓW

JAK UKRAŚĆ 53 MILIONY FUNTÓW – I W MIG JE ST

P 96



RACIĆ

Niewielkie miasteczko na południu Anglii, kilku gangsterów amatorów i genialny w swej prostocie plan. Gdyby tylko złodzieje przed skokiem stulecia zastanowili się, co zrobić po rozładunku ciężarówki wypełnionej gotówką...

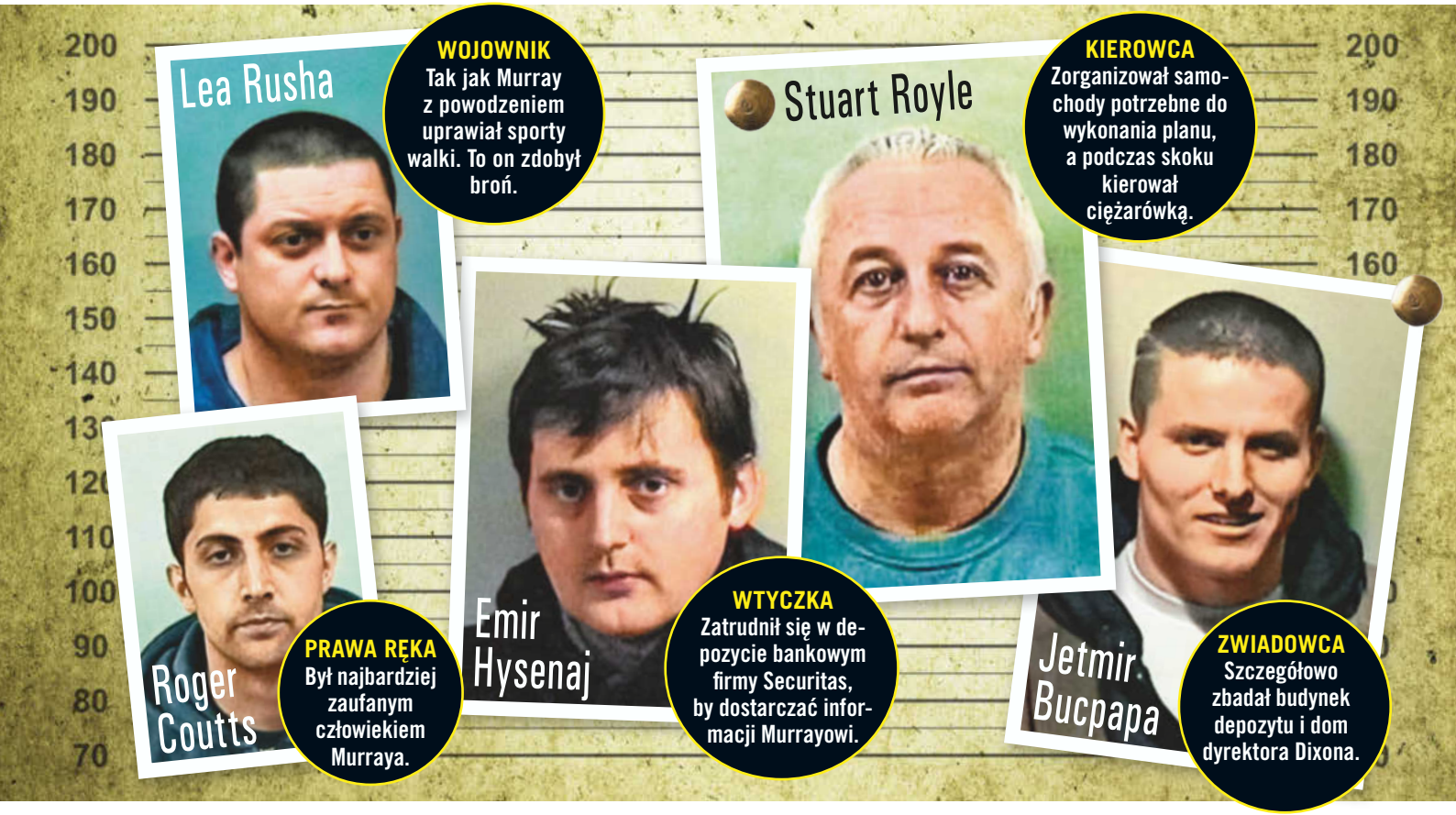
Lee Murray jest sfrustrowany. Trzeba było wynająć większego dostawczaka – białe Renault Midlum o ładowności 7,5 tony okazuje się po prostu za małe! Ten błąd w szacunkach kosztuje ok. 150 milionów funtów. Jednak i on, i jego kompani szybko o tym zapominają, bo gdy o godz. 2:33 opuszczają teren depozytu bankowego w Tonbridge, samochód jest wypchany po sam dach banknotami o łącznej wartości 53 116 760 funtów (w przeliczeniu ok. 260 milionów złotych). Na oddalonym o 300 metrów posterunku nieświadomi niczego policjanci cieszą się ze spokojnej nocy, tymczasem tuż obok doszło do największej kradzieży pieniędzy w historii Europy. To prawdziwy skok stulecia – przynajmniej do momentu, gdy dają o sobie znać błędy, jakie sprawcy popełnili przed rabunkiem i już po ucieczce ze skarbca...

Kryminalny rekord

Cofnijmy się w czasie o parę tygodni. Napad na depozyt bankowy w Tonbridge, 50 km na południowy wschód od Londynu, jest dokładnie planowany. >

WSPÓLNICY

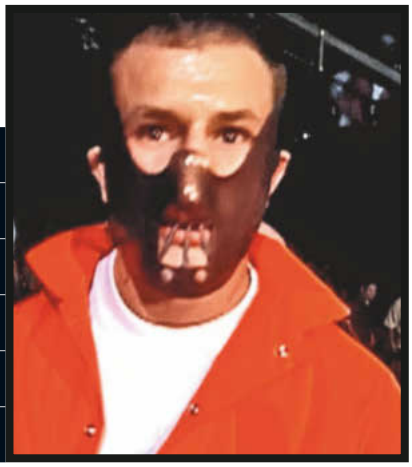
Lee Murray (na zdj. u dołu strony) i jego wspólnicy Lea Rusha, Roger Coutts, Stuart Royle, Jetmir Bucpapa oraz Emir Hysenaj mogli świętować skok stulecia zaledwie kilka dni, ponieważ szybko ich aresztowano – w trakcie rabunku i po nim popełnili zbyt wiele błędów, ułatwiając tym samym pracę policji. Murrayowi udało się wprawdzie zbiec do Maroka, jednak ostatecznie został tam zatrzymany i trafił do więzienia.



Lee Murray i Jetmir Bucpapa przez wiele dni obserwują budynek zabezpieczony niczym twierdza. Do jego wnętrza przemycają szpiega, by sprawdził, jak betonowy gmach wygląda od środka – i jak najlepiej tam się dostać. Wtyczką jest Emir Hysenaj, który zatrudnia się w instytucji i za pomocą mikrokamery ukrytej w pasku filmuje pomieszczenia. Szybko okazuje się, że przechowuje się tu miliony funtów, a człowiek, który może zapewnić do nich dostęp, nazywa się Colin Dixon. To dyrektor depozytu, dysponujący nie tylko kartą kodów do wejścia, ale i kluczem do skarbca. Bez niego się nie uda.

Wieczorem 21 lutego 2006 roku Murray i spółka zatrzymują samochód 52-letniego Dixona, który wraca właśnie do domu. Złodzieje przebrani za policjantów proszą grzecznie, by pojechał z nimi na komisariat. Dopiero na tylnym siedzeniu rzekomego radiowozu, z lufą pistoletu przyłożoną do skroni, mężczyzna zdaje sobie sprawę, iż nie powinien był się zatrzymywać. O godz. 1:21 nad ranem dyrektor – którego żonę i ośmioletniego syna gangsterzy także uprowadzili, by móc go szantażo-

STACJA KOŃCOWA: MAROKO
Lee Murray (na zdj. poniżej) był jednym z najlepszych zawodników MMA w Anglii, dopóki jego kariery nie przerwały napad i aresztowanie w Maroko, gdzie do dzisiaj przebywa w więzieniu niedaleko Rabatu.



Adrian Leppard, zastępca komendanta policji hrabstwa Kent

„TEN NAPAD RABUNKOWY CECHOWAŁA WOJSKOWA PRECYZJA – DOKONALI GO LUDZIE Z SAMEGO SZCZYTU PRZESTĘPCZOŚCI ZORGANIZOWANEJ"

wać – oraz napastnicy w mundurach policjantów wchodzą do budynku depozytu. Potem wszystko dzieje się bardzo szybko: zamaskowani mężczyźni otwierają bramy, podjeżdżają ciężarówką i w ciągu godziny ładują do niej niewyobrażalną kwotę 53 milionów funtów. To rekord Europy, przy którym blednie nawet legendarny na Wyspach Brytyjskich skok na pociąg z 1963 roku. Dixona, jego rodzinę oraz strażników rabusie zamykają w pustej klatce skarbca.

Mycie skraca życie (na wolności)

Następnego dnia policja mówi o „napadzie dokonanym z wojskową precyzją przez ludzi z samego szczytu przestępczości zorganizowanej". Miałaby rację, gdyby kryminaliści zatroszczyli się o zatarcie śladów równie drobiazgowo, co o samą kradzież, ale śledczy już dwa dni później znajdują auto, które posłużyło do porwania – nie ma mowy o pomyłce, bo na tylnym siedzeniu leży portfel dyrektora depozytu. To jednak nie wszystko: w tym samym czasie do wypożyczalni zostaje zwrócona ciężarówka marki Renault – pracownicy jeszcze nigdy nie widzieli, by któryś z samochodów wrócił tak czysty. Podejrzewają, iż do sprzątania użyto nawet myjki parowej. Zdumieni tym faktem łączą go z doniesieniami medialnymi o spektakularnym skoku, dzwonią na policję i przekazują zaskoczonym funkcjonariuszom numer karty kredytowej i dane z prawa jazdy mężczyzny, który wypożyczył pojazd. To gorący trop!

Tego samego dnia stuosobowy zespół dochodzeniowy otrzymuje dodatkową wskazówkę. Ktoś donosi, że pewna fryzjerka z Tonbridge, która specjalizuje się też w dziedzinie makijażu i charakteryzacji, pracowała ostatnio nad nietypowym zleceniem. Podczas przeszukania jej domu śledczy znajdują maski i opakowanie z kosmetykami z napisem „Lee M.", a do tego instrukcję, jak trafić do mieszkania niejakiego Jetmira Bucpapy. Policjanci niedługo potem dokonują nalotu na ten lokal – nie zastają właściciela, za to w należącym do niego samochodzie natrafiają na GPS z zapisanym adresem dyrektora depozytu. Gliniarzom zaczyna powoli świtać, że raczej nie mają do czynienia z elitą przestępczości zorganizowanej...

Podejrzenia się potwierdzają, gdy funkcjonariusze poddają analizie opakowanie z napisem „Lee M.". To imię kojarzą nie tylko oni – Lee „Lightning" Murray jest znanym w całym kraju zawodnikiem MMA, karanym już w przeszłości. Ale czy to możliwe, iż właśnie on stoi za największą kradzieżą w historii Anglii?

Sprawdzając ten trop, policjanci wpadają na kolejny. Dziesięć dni przed napadem wracający z pubu pod wpływem alkoholu sportowiec został zatrzymany przez drogówkę, która skonfiskowała jego żółte Ferrari. Śledczy przypominają sobie o tym aucie, namierzają je i nie mogą uwierzyć we własne szczęście: na tylnym siedzeniu znajdują nie tylko notes z nazwiskami wspólników Murraya, ale także kilka telefonów komórkowych, które mężczyzna nieopatrznie tam zostawił. Na jednym z nich zabezpieczają nagraną przypadkiem rozmowę, podczas której sportowiec ustala z kompanami szczegóły planowanego skoku. Bingo! Rabusie są zdemaskowani – zaledwie miesiąc po dokonaniu zuchwałej kradzieży pięciu sprawców siedzi w areszcie. Murrayowi udaje się uciec do Maroka, jednak zostaje aresztowany przez tamtejszą policję i skazany na 25 lat więzienia (Wielka Brytania nie zawarła z tym krajem umowy o ekstradycji, zresztą przy gangsterze znaleziono twarde narkotyki). Jego wspólnikom w Anglii powiodło się niewiele lepiej: za napad z użyciem broni i porwanie otrzymują od 25 lat więzienia do dożywocia, z możliwością ubiegania się o zwolnienie warunkowe po 10 lub 15 latach.

KTO ZGARNĄŁ FORTUNĘ?
Ponad połowy z 53 milionów zrabowanych funtów nie udało się odnaleźć do dzisiaj.

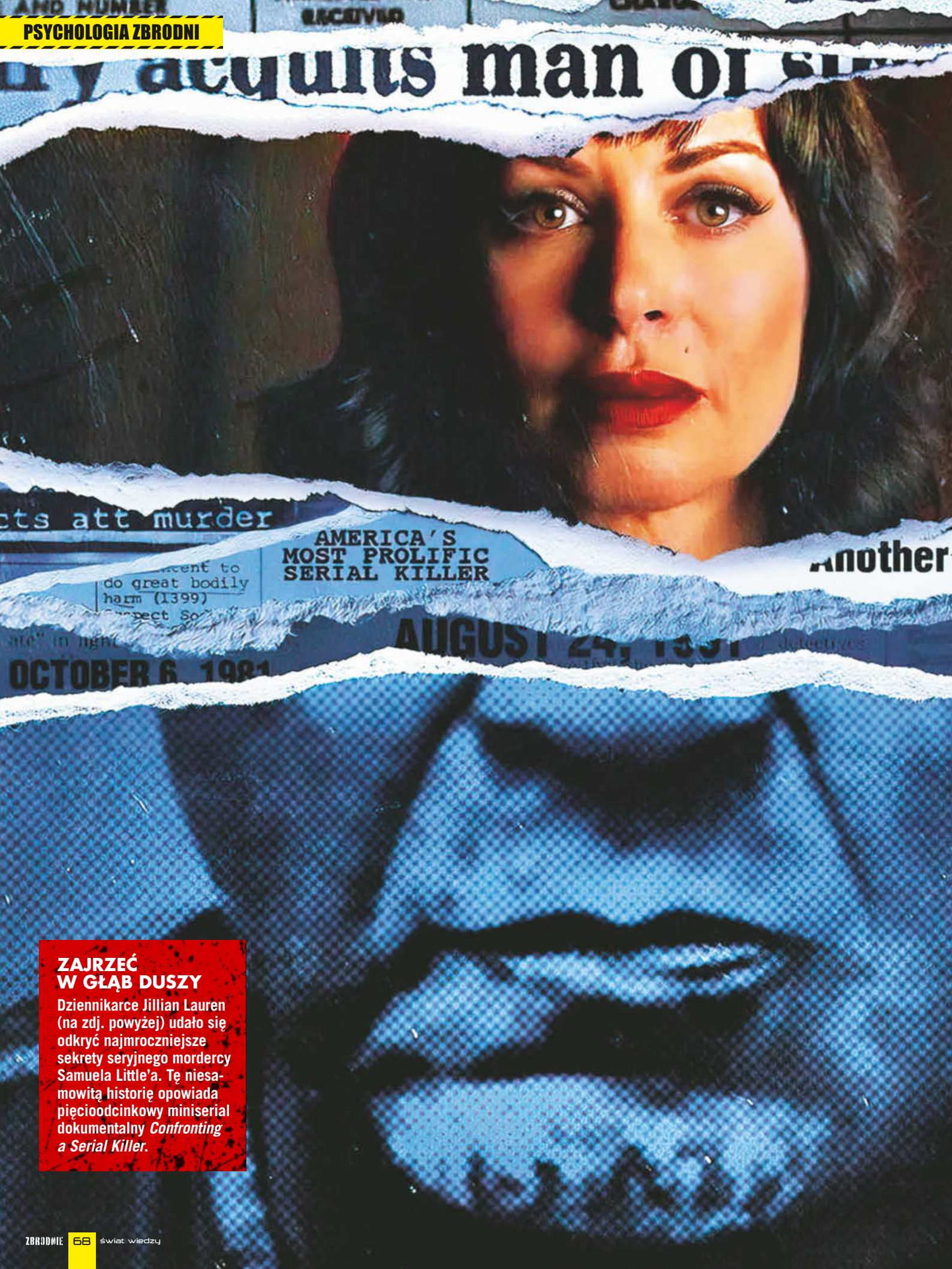


„ŁATWIEJ JEST ZNALEŹĆ IGŁĘ W STOGU SIANA" detektyw Nick Biddiss

„Jeden na 53 miliony"

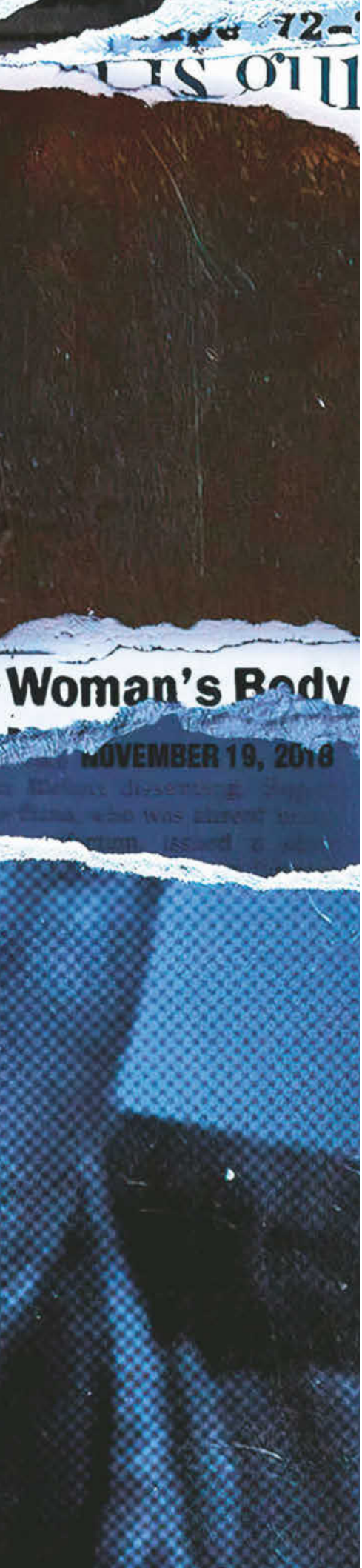
Mimo zakończonego sukcesem śledztwa wiele szczegółów nadal pozostaje tajemnicą. Przede wszystkim ciągle nie odzyskano ponad połowy ze zrabowanych 53 milionów funtów! Śledczy przypuszczają, iż w kradzież zamieszane były także inne osoby, które już dawno „wyprały" brakujące 32 miliony. – *Łatwiej jest znaleźć igłę w stogu siana* – twierdzi detektyw Nick Biddiss. Może powinien jeszcze raz porozmawiać z Lee Murrayem? W liście do Howarda Sounesa, autora książki na temat tej zuchwałej kradzieży, przestępca napisał: „Ilu ulicznych twardzieli dociera tak daleko jak ja? Może jeden na milion. A może powinienem powiedzieć: jeden na 53 miliony?". ■

ZDJĘCIA: Photonews Service/Shutterstock/East News; Adobe Stock; Shutterstock arch.; EPA/PAP; domena publ.



ZAJRZEĆ W GŁĄB DUSZY

Dziennikarce Jillian Lauren (na zdj. powyżej) udało się odkryć najmroczniejsze sekrety seryjnego mordercy Samuela Little'a. Tę niesamowitą historię opowiada pięcioodcinkowy miniserial dokumentalny *Confronting a Serial Killer*.



MÓJ PRZYJACIEL ZABÓJCA

Jeśli chce się zrozumieć, co siedzi w głowie seryjnego mordercy, trzeba z nim porozmawiać. To właśnie zamierzała zrobić dziennikarka Jillian Lauren, gdy nawiązała kontakt z Samuelem Little'em, mężczyzną skazanym za trzy zabójstwa. Po pewnym czasie udało się jej nie tylko zdobyć jego zaufanie, ale także szokujące przyznanie się do winy...

Jillian Lauren wciąż pamięta dzień, w którym poznała Samuela Little'a. Był sierpień 2018 roku. Siedziała w sali widzeń w kalifornijskim więzieniu stanowym, a serce waliło jej jak młotem. Nie mogła przestać myśleć o scenie z filmu *Milczenie owiec*, w której Clarice Starling po raz pierwszy odwiedza Hannibala Lectera. Zatopiona w myślach, wpatrywała się w drzwi na końcu pokoju, nie zauważając, że za nią cicho otworzyły się inne. Nagle dostrzegła ruch i obróciła się. Obok niej stał Samuel Little, szczerząc zęby w uśmiechu. – *Jesteś moim aniołem, przybywającym do mnie z nieba* – powiedział łagodnie, przeszywając ją wzrokiem. Dopiero po chwili udało jej się złapać oddech. – *Spojrzałam w jego oczy, a one były puste. Po prostu puste* – wspomina Lauren, która w tamtym momencie uświadomiła sobie, iż ma do czynienia z seryjnym mordercą i że wszystko, co o nim przeczytała, jest prawdą...

PAKT **Z DIABŁEM**

Jillian Lauren usłyszała nazwisko Little po raz pierwszy, gdy w trakcie pracy nad powieścią rozmawiała z detektyw z wydziału zabójstw. Na pytanie, co było jej największym sukcesem, odpowiedziała, że kiedyś udało jej się złapać seryjnego mordercę. W latach 1987–1989 Samuel Little udusił w okolicach Los Angeles trzy kobiety – ale dopiero w 2012 roku, dzięki nowym metodom analizy DNA, udało się powiązać go z tymi zbrodniami. Dwa lata później został skazany za nie na potrójne dożywocie. Pod koniec rozmowy śledcza wypowiedziała zdanie, które sprawiło, iż Lauren zapragnęła bliżej przyjrzeć się sprawie: – *Jestem pewna, że ta trójka nie była jego jedynymi ofiarami.*

Myśl, że Little może mieć na sumieniu więcej osób, nie dawała dzienni-

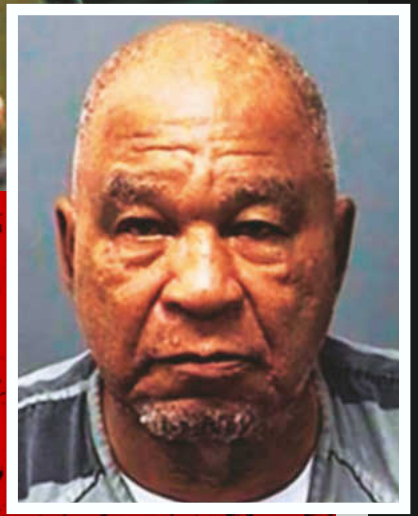
ZEZNANIE NARYSOWANE PO LATACH

Samuel Little zapamiętał prawie każdy szczegół zabójstw i rysował z pamięci portrety swoich ofiar, nazywając je „dziećmi". Prowadząc dziennikarskie śledztwo, Jillian Lauren odkryła, że niemal wszystkie zamordowane pochodziły z tzw. trudnych środowisk: były bezdomnymi albo prostytutkami, uzależnionymi od narkotyków lub alkoholu. Najwyraźniej Little wiedział, że za takimi ludźmi nikt nie będzie tęsknił. – *Nie mogę zaakceptować faktu, iż tak wiele kobiet ginie w straszliwych zbrodniach, a potem po prostu się o nich zapomina* – mówi Lauren. – *Dlatego chcę oddać im głos, opowiedzieć ich historie. Jest to jedyny sposób, aby ci niewidzialni ludzie mogli odzyskać sprawiedliwość oraz człowieczeństwo, które im odebrano, gdy zostali zignorowani przez sądy.*





karce spokoju, dlatego postanowiła skontaktować się z zabójcą. Ku swemu zaskoczeniu otrzymała natychmiastową odpowiedź. Oboje zaczęli pisać do siebie listy, aż w końcu Jillian, notabene była call girl, zwróciła się z prośbą o umożliwienie jej odwiedzania Little'a w więzieniu – wniosek rozpatrzono pozytywnie. Pierwsze spotkanie nie było dla Lauren satysfakcjonujące, bo 78-latek wszystkiemu zaprzeczał. Twierdził, że jest niewinny i po prostu znalazł się w złym miejscu o złej porze. Kobieta widziała jednak, iż Little kłamie. Co więcej, im dłużej go słuchała, tym bardziej była pewna, że ma na sumieniu o wiele więcej osób. Problem w tym, iż reporterka nie miała zbyt dużo czasu. Little chorował bowiem na serce i wkrótce miał zabrać swoje mroczne sekrety do grobu. Zawarła więc pakt z diabłem: – *Zaproponowałam: nie umrzesz samotnie, jeśli powiesz mi prawdę. Ale jeżeli zamierzasz nadal kłamać, to była moja ostatnia wizyta.* Little przez chwilę patrzył na nią z wahaniem, aż w końcu odpowiedział: – *Dobrze. Wygrałaś.* I zaczął opowiadać – nie tylko o zabójstwach, za które został skazany, lecz także o różnych innych. Tego dnia przyznał się do popełnienia 13 morderstw...



PORAŻKA WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

W latach 1970–2005 Little (na zdj.) miał zabić 93 kobiety. Ale chociaż w tym czasie wielokrotnie trafiał przed oblicze sądu, zawsze go uniewinniano. Dopiero w 2014 roku został skazany na dożywocie za popełnienie trzech morderstw.

ZABÓJCA, KTÓREMU LATAMI UDAWAŁO SIĘ **WYWINĄĆ**

Na podstawie zeznań Little'a dziennikarka prowadziła dalsze śledztwo i dokonała szokującego odkrycia: otóż na przestrzeni kilkudziesięciu lat tego byłego pięściarza aresztowano w 24 stanach, a jego kartoteka liczyła ponad 100 stron. – *Było tam wszystko: od napaści, przez gwałt, po morderstwo. Tyle razy był sądzony, a jednak za każdym razem go uniewinniano.* Jak to możliwe? Odpowiedź stanowią podobieństwa między ofiarami.

>



MAKABRYCZNA UKŁADANKA

Little miał dokonać morderstw w co najmniej 16 stanach. Prowadzący śledztwo Darren Versiga (powyżej) próbuje zweryfikować zbrodnie, do których popełnienia skazaniec przyznał się Lauren – i dopasować namalowane przez niego portrety ofiar do niewyjaśnionych spraw. Udało się to już w 50 przypadkach. Jednak tożsamości prawie połowy kobiet zabitych przez Little'a wciąż nie ustalono.

– Prawie zawsze były to niebiałe kobiety, narkomanki, prostytutki – ludzie, których postrzegano jako nieistotnych. To zjawisko nazywa się „mniejszą śmiercią" – wyjaśnia autorka. *– Zabójstwa osób z marginesu społecznego nie są badane tak szczegółowo jak tych z zamożnych środowisk. Najdokładniej analizuje się sprawy śmierci ładnych, białych studentek, najmniej uważnie – czarnych prostytutek.*

Każdy wyrok uniewinniający zachęcał Samuela do dalszego zaspokajania swoich popędów. Prowadził wędrowny tryb życia, finansowany z kradzieży i rozbojów. Nigdy nie przebywał w jednym miejscu na tyle długo, by wzbudzić podejrzenia. W ten sposób przez kilkadziesiąt lat umykał wymiarowi sprawiedliwości – aż w końcu w 2012 roku został aresztowany, a dwa lata później skazany.

DLACZEGO FBI NADAL PROWADZI ŚLEDZTWO?

Zanim Little zmarł w więzieniu w grudniu 2020 roku, Jillian Lauren wydobyła od niego wyznania o popełnieniu 93 morderstw. Jego szczegółowe relacje pomogły organom ścigania w ostatecznym rozwiązaniu wielu spraw, które już dawno zostały odłożone na półkę lub błędnie zaklasyfikowane (np. jako śmierć z przedawkowania narkotyków). FBI jednoznacznie powiązało z Little'em 50 zabójstw w 16 stanach, co czyni go najstraszniejszym seryjnym mordercą w historii USA. Jednak dziesiątek innych ofiar nie udało się do tej pory zidentyfikować. Dlatego też FBI zamieściło w internecie mapę kraju, która jest usiana kropkami – każda z nich oznacza co najmniej jedną niewyjaśnioną zbrodnię. Jeśli się na nią spojrzy, szybko staje się jasne: może minąć jeszcze sporo czasu, zanim sprawa Samuela Little'a będzie mogła zostać ostatecznie zamknięta... ■

ZDJĘCIA: Al Seib/LA Times/Gallo Images; William Widmer/Redux/East News; Shutterstock arch.; Picsel arch.; domena publ.; mat. pras.

Polecamy także czasopisma na czytelnia.pl

WYDANIE NR 1/2026 (KWIECIEŃ–CZERWIEC) INDEX 701907, ISSN 2956-6274

CENA 14,99 ZŁ W TYM 8% VAT

świat wiedzy extra



KIEDY LICZY SIĘ KAŻDA SEKUNDA...

I ty możesz zostać SUPERMANEM!



8 PRODUKTÓW do codziennego spożycia

ILE KOSZTUJE ZDROWA ŻYWNOŚĆ?

GRANICE LUDZKICH MOŻLIWOŚCI



CZY MOŻNA UTONĄĆ NA SZCZYCIE MOUNT EVERESTU?

Najwyższa góra świata zbiera ŚMIERTELNE ŻNIWO



SZTUKA TERAPII ODDECHEM

Czy może przedłużyć życie?

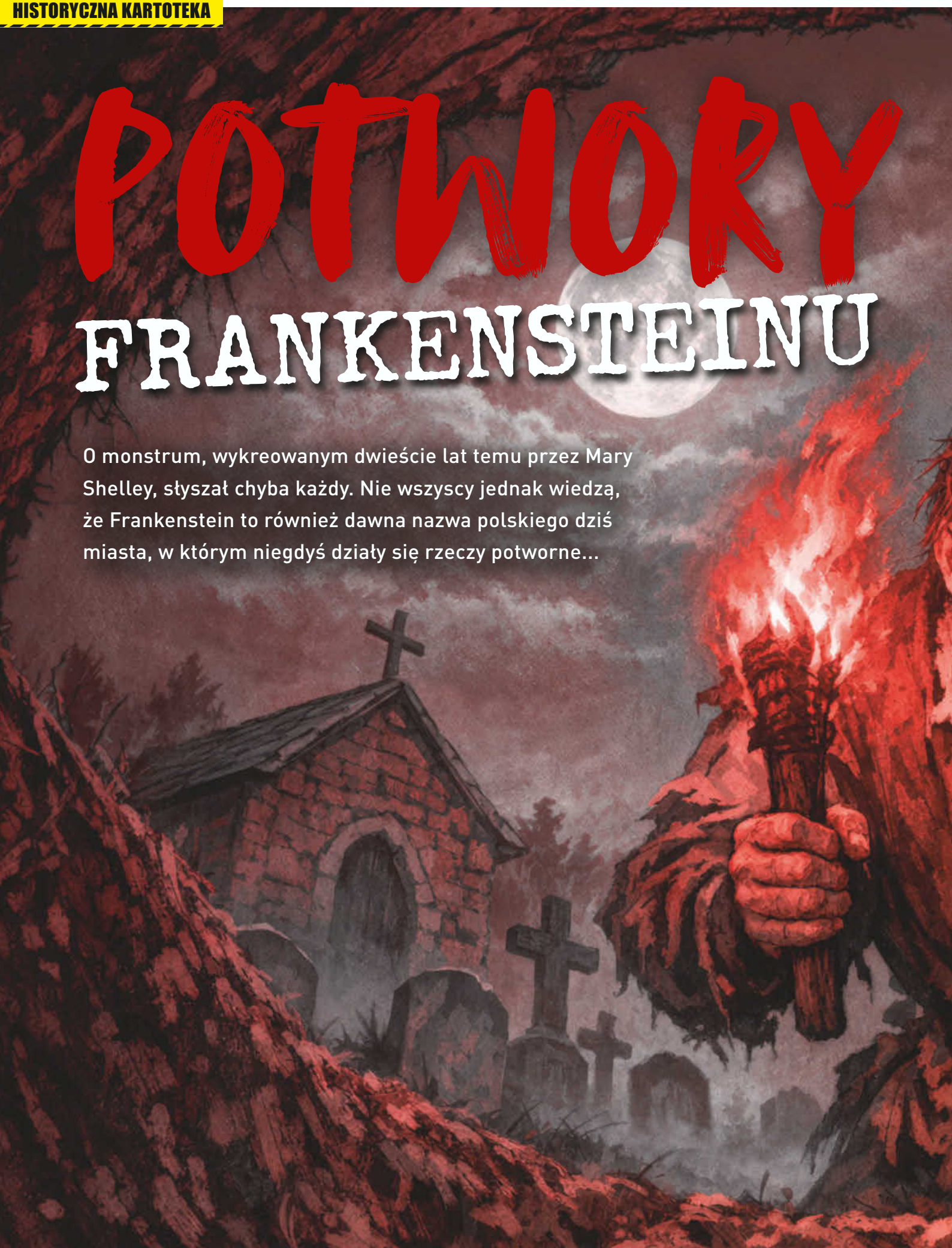
KULTOWA EDYCJA

JAK REAGUJEMY W SYTUACJACH EKSTREMALNYCH?

JUŻ W SPRZEDAŻY

POTWORY FRANKENSTEINU

O monstrum, wykreowanym dwieście lat temu przez Mary Shelley, słyszał chyba każdy. Nie wszyscy jednak wiedzą, że Frankenstein to również dawna nazwa polskiego dziś miasta, w którym niegdyś działy się rzeczy potworne...





Ciała wykopywano z grobów i wykorzystywano do czarnoksięskich rytuałów, wyrobu trucizn oraz innych, jeszcze paskudniejszych czynów. Umyślnie roznoszono dżumę po bogatym miasteczku. Bezczeszczono i rabowano kościoły. A oskarżonych o te zbrodnie torturowano i ostatecznie spalono na stosie. To wcale nie streszczenie gotyckiego horroru, lecz szczegółowy zapis wydarzeń, które rozegrały się w mieście Frankenstein, dziś znanym jako Ząbkowice Śląskie. Gdyby ktoś szukał na mapie: to sześćdziesiąt kilometrów na południe od Wrocławia.

Według źródeł w styczniu 1606 roku wybuchła tam morowa zaraza. Nie pierwsza i nie ostatnia, ale na pewno jedna z najtragiczniejszych w historii miejscowości. W ciągu roku zmarło ponad dwa tysiące ludzi, czyli przeszło trzecia część populacji. Być może obecnie nikt już by o tym nie pamiętał, gdyby nie pewien makabryczny szczegół – grabarze i ich pomocnicy rozwinęli wówczas działalność rodem z powieści grozy.

SZAJKA CZAROWNIKÓW

W dziewiątym miesiącu trwania epidemii aresztowano we Frankensteinie osiem osób. Poza trzema grabarzami – Försterem, Freidigerem i Schleinigerem – w pozornie przypadkowej zbieraninie więźniów znaleźli się także żona i pasierbica tego ostatniego, były skazaniec Weiber, stary żebrak Schetts oraz jego małżonka. Stanowili niewątpliwie malowniczą grupę. Zarzuty? Czary, trucie ludzi i wywołanie zarazy. Nie wszyscy dawali wiarę oskarżeniom, dlatego powołano zespół śledczych, złożony głównie z medyków. Na czele postawiono doktora Schwepsa, specjalistę sprowadzonego ze Schweidnitz (Świdnicy). Jakkolwiek eksperci zatrudnieni do rozwiązania zagadki początkowo podeszli do sprawy z rezerwą, upatrując jej wyjaśnienia w zwykłej histerii i przesądności, to po przeszukaniu domu Förstera zmienili zdanie. Podczas rewizji odnaleźli bowiem pojemniki zawierające tajemniczy proszek. W trakcie przesłuchania podejrzani wyjawili, iż sporządzili go z... ludzkich zwłok, a preparatem nacierali kołatki i klamki domostw. Nie był to koniec makabrycznych odkryć. Okazało się, że oskarżeni rozkopywali groby oraz bezcześcili ciała. Członkowie szajki grabarzy przyznali się do wszystkiego: od zjadania serc płodów przez akty nekrofilii po czary, do których odprawiania mieli wykorzystywać przedmioty wykradzione z kościołów i wygrzebane z ziemi szczątki. Łupili zresztą – całkiem pospolicie, bo z kosztowności – również domy ofiar dżumy.

Spotkała ich za to okrutna kara, i to już kilka dni po zatrzymaniu. Zostali skazani na śmierć poprzedzoną torturami. Najpierw oprowadzano ich po dotkniętym zarazą mieście, a potem rozdzierano rozżarzonymi obcęgami i odrąbywano im palce. Co najmniej jednemu winnemu wyrwano genitalia. Na koniec złoczyńców przykuto do słupów i spalono żywcem – tak w każdym razie opisują to dokumenty.

CO NAPRAWDĘ WYDARZYŁO SIĘ WE FRANKENSTEINIE?

Oczywiście, trzeba zadać sobie pytanie, ile prawdy mogło być w tych porażających oskarżeniach. Medycyna, a tym bardziej kryminalistyka nie stały w owych czasach na najwyższym poziomie. Do tego całe śledztwo przeprowadzono w pośpiechu, w ciągu zaledwie paru dni, i to w miejscowości, w której szalała epidemia. Przesłuchania zaś – jak łatwo zgadnąć – „wspomagano" torturami, skłaniającymi podejrzanych, aby przyznali się do nawet najbardziej niedorzecznych czynów.

Po przeszło czterystu latach nie sposób dociec, co faktycznie wydarzyło się we Frankensteinie. Ale wiele wskazuje na to, że przynajmniej część zarzutów była słuszna. Rozkopywanie grobów, okradanie świątyń i domów – z pewnością. Wywołanie zarazy? Tu pojawiają się już wątpliwości, choć jeżeli szajka grabarzy rzeczywiście wykorzystywała zainfekowany proszek, to mogła się przyczynić do śmierci dużej liczby osób. Czary? Przyznanie się do nich także można zrzucić na karb kaźni. Jednak z drugiej strony trzeba pamiętać, że w XVII wieku ludzie wierzyli w magię i wcale nie brakowało takich, którzy próbowali ją uprawiać.

Tego typu historii zresztą nie brakowało. Wystarczy wspomnieć o okrytym złą sławą amerykańskim

CZARNA ŚMIERĆ

Kiedy Frankenstein zaatakowała zaraza, zabijając jedną trzecią jego mieszkańców, szukano winnych. Czy współodpowiedzialni za jej rozprzestrzenianie się byli miejscowi grabarze?

miasteczku Salem, gdzie w 1692 roku doszło do masowych procesów i egzekucji po tym, jak dwie dziewczynki oskarżyły służącą oraz miejscową staruszkę o rzucenie na nie uroku. W trakcie dochodzenia gorliwi śledczy uznali, że w niewielkiej mieścinie nie brakuje osób parających się czarnoksięstwem. Przed sądem stanęło ostatecznie około 80 „czarownic" i „czarowników", spośród których dwadzieścioro skazano na śmierć (w tym lokalnego pastora).



DIABELSKI ŁOWCA

Dwa tygodnie po egzekucjach ewangelicki proboszcz dawnych Ząbkowic Śląskich Samuel Heinnitz głosił w kościele parafialnym żarliwe kazania, modląc się w intencji pokonania dżumy. Trzy lata później ukazały się one drukiem – pod tytułem *Historia prawdziwa o kilku wykrytych i zniszczonych trucicielskich dziełach diabelskiego łowcy w czasie zarazy roku 1606 w mieście Frankenstein na Śląsku*. „Diabelski łowca" był dla kapłana metaforą zła, które dotknęło miejscowość i przyniosło epidemię. Jednak prosty lud nie najlepiej radził sobie z głęboką symboliką. Przekuł zatem wysłannika piekieł w realną postać. Szybko stała się ona czarnym charakterem lokalnych legend – tak zrodził się potwór z Frankensteinu. To jego działaniem przesądna ludność tłumaczyła sobie kolejne nieszczęścia, jakie spotykały okolicę.

Po II wojnie światowej pisarz Władysław Jan Grabski wydał książkę *300 miast wróciło do Polski. Informator historyczny 960–1960*. Wśród przytoczonych przez niego podań związanych z tzw. Ziemiami Odzyskanymi znalazła się i ta o diabelskim łowcy. A konkretniej: o mieszkającym w ruinach ząbkowickiego zamku „monstrum w ludzkim ciele, które ohydnymi praktykami zgładziło dwa tysiące ludzi".

SKĄD POCHODZIŁ LEGENDARNY POTWÓR?

A jak to się ma do *Frankensteina, czyli współczesnego Prometeusza* Mary Shelley? Na pierwszy rzut oka historia jest zupełnie inna. Akcja słynnej powieści rozgrywa się głównie w Szwajcarii pod koniec XVIII wieku, jej bohaterem jest zaś uczony, nie czarownik. Ale z drugiej strony w obu przypadkach mamy do czynienia z wykradaniem zwłok i przede wszystkim: z potworem popełniającym szereg zbrodni.



POTWÓR ZE SNÓW

Bezpośrednią inspiracją dla Mary Shelley (powyżej) do napisania o potworze Frankensteina miał być... koszmar. Zobaczyła w nim „bladego adepta bezbożnych nauk", który z fragmentów zwłok stworzył upiora, a potem ożywił go za pomocą maszyny.

Znamienne jest również nazwisko szalonego naukowca – Frankenstein. Niektórym trudno uwierzyć, że to przypadek.

Skąd autorka znałaby historię zarazy w Ząbkowicach Śląskich? Mogła usłyszeć ją od swojego znajomego, Johna Polidoriego. Ów Anglik włoskiego pochodzenia był lekarzem, ale zapamiętano go przede wszystkim jako pisarza, który do literatury romantycznej wprowadził innego niesamowitego stwora: wampira. Doktor Polidori fascynował się legendami oraz ludowymi opowieściami o czarach i straszydłach, istnieje więc duża szansa, że to właśnie on zapoznał Shelley z postacią diabelskiego łowcy. Być może w ten sposób narodził się kolejny potwór Frankensteinu, doskonale nam znany z filmowych hitów. ■

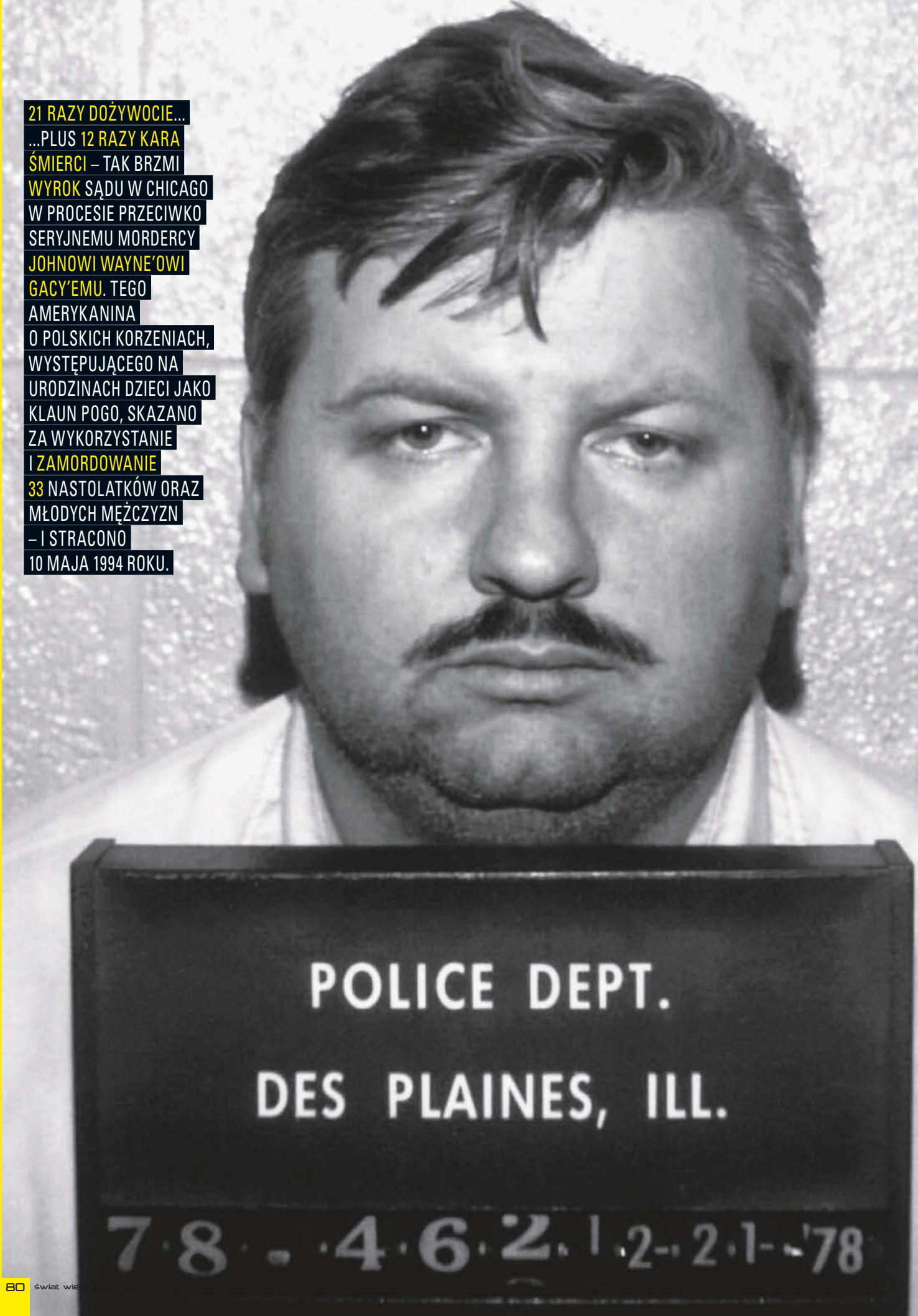
TEKST: Daniel Nogal KONSULTACJA NAUKOWA: dr Igor Wypijewski
ZDJĘCIA I ILUSTRACJE: Pixabay; Picsel arch. (2); mat. redakcyjne/AI; Wikimedia Commons

KLAUN Z PIEKŁA RODEM

Miliony ludzi przeżywały w 2017 roku chwile grozy, oglądając film *To*, nakręcony na podstawie powieści Stephena Kinga. Potem pojawiły się część druga horroru oraz serial. Mało kto jednak wie, że klaun morderca istniał naprawdę. Na następnych stronach piszemy o zabójczych sztuczkach upiornego „dowcipnisia”...



21 RAZY DOŻYWOCIE... ...PLUS 12 RAZY KARA ŚMIERCI – TAK BRZMI WYROK SĄDU W CHICAGO W PROCESIE PRZECIWKO SERYJNEMU MORDERCY JOHNOWI WAYNE'OWI GACY'EMU. TEGO AMERYKANINA O POLSKICH KORZENIACH, WYSTĘPUJĄCEGO NA URODZINACH DZIECI JAKO KLAUN POGO, SKAZANO ZA WYKORZYSTANIE I ZAMORDOWANIE 33 NASTOLATKÓW ORAZ MŁODYCH MĘŻCZYZN – I STRACONO 10 MAJA 1994 ROKU.





Dzieci krzyczą z radości. Dorośli także ledwie powstrzymują się od śmiechu. Show klauna Pogo w ogrodzie obchodzącego właśnie urodziny chłopca jest przezabawny. Znowu. Czerwona czapka, o wiele za duże buty, umalowana na biało twarz – John Wayne Gacy jest znany i lubiany w całej dzielnicy za swoją pokazową rolę. Nikt wtedy nawet nie przypuszcza, że ten mężczyzna po trzydziestce nie zakłada kostiumu, aby uszczęśliwiać dzieci lub zarabiać pieniądze, ale po to, by poznać swoje przyszłe ofiary. Ponieważ klaun Pogo poluje na ludzi...



BÓJ SIĘ KLAUNA! KOULROFOBIA – TAKĄ NAZWĘ NOSI LĘK PRZED KLAUNAMI. WIELE OSÓB CZUJE SIĘ NIEPEWNIE PRZY ŻARTOWNISIU, KTÓREGO POMALOWANA TWARZ SKRYWA PRAWDZIWE UCZUCIA I ZAMIARY. STRACH TEN BYŁ CAŁKOWICIE UZASADNIONY W PRZYPADKU WIDOCZNEGO NA ZDJĘCIU CZŁOWIEKA – SERYJNEGO MORDERCY JOHNA GACY'EGO.

„SZTUCZKA POLEGA NA TYM, ŻE MUSISZ MIEĆ KLUCZYK"

Kajdanki raczej nie należą do klasycznego wyposażenia klauna, niemniej jednak sztuczka robi wrażenie. Gacy zwabia do swojego domu nastolatka i prosi, aby zakuł go w jego własne kajdanki. Mężczyźnie udaje się z nich wyswobodzić w ciągu kilku sekund. Potem nalega, aby chłopiec także spróbował się uwolnić, i zakłada mu kajdanki. Dopiero w tym momencie klaun Pogo pokazuje swoją prawdziwą twarz: – *Sztuczka polega na tym, że musisz mieć kluczyk* – uśmiecha się szyderczo. Gwałci swoją bezbronną ofiarę, po czym dusi ją za pomocą sznura albo zarzyna nożem. W Chicago lat siedemdziesiątych scenariusz ten powtarza się całymi latami. >

„KLAUNOWI NAWET MORDERSTWO UCHODZI NA SUCHO"

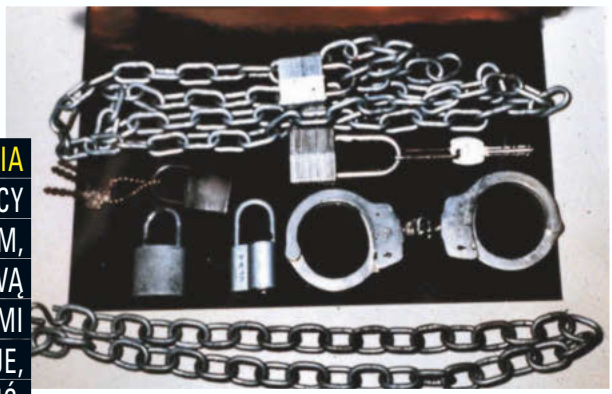
John Wayne Gacy



PERFEKCYJNY KAMUFLAŻ POPOŁUDNIAMI JOHN GACY PRZEBIERAŁ SIĘ ZA KLAUNA (NA ZDJ. JEGO KUFEREK Z PRZYBORAMI DO MAKIJAŻU) I WYSTĘPOWAŁ NA URODZINACH DZIECI. KIEDY W OKOLICY ZACZĘLI ZNIKAĆ CHŁOPCY, NIKT NIE PODEJRZEWAŁ SYMPATYCZNEGO WESOŁKA.



RELIKTY GROZY
W ALCATRAZ EAST CRIME MUSEUM W STANIE TENNESSEE WYSTAWIONE SĄ KOSTIUMY, KTÓRE JOHN WAYNE GACY NOSIŁ PODCZAS SWOICH PUBLICZNYCH WYSTĘPÓW, A TAKŻE NAMALOWANE W WIĘZIENIU AUTOPORTRETY.



ZABÓJCZA MAGIA
JOHN WAYNE GACY OBIECYWAŁ SWOIM OFIAROM, ŻE POKAŻE IM CIEKAWĄ SZTUCZKĘ Z KAJDANKAMI – TAK PRZEKONYWAŁ JE, ABY DAŁY SIĘ ZAKUĆ.

A mimo to Gacy'emu przez długi czas udaje się utrzymać wizerunek lubianego sąsiada. Jako klaun zachwyca dzieci na festynach ulicznych. Jako lokalny przedsiębiorca troszczy się o to, aby młodzi ludzie mieli perspektywy zawodowe. Jako wnuk imigrantów z Polski organizuje doroczną trzeciomajową paradę Polonii w Chicago. A jako okręgowy działacz demokratów w 1978 roku zostaje nawet obdarzony uściskiem dłoni przez ówczesną pierwszą damę, Rosalynn Carter. Ale w rzeczywistości jest jednym z najokrutniejszych seryjnych morderców w historii Stanów Zjednoczonych. Policja prowadząca wtedy poszukiwania zaginionych nastolatków działa po omacku. Nikt nie może sobie wyobrazić, że miły John Gacy mógłby mieć coś wspólnego ze zniknięciem chłopców.

„JEDYNYM PRZESTĘPSTWEM, ZA KTÓRE MOŻECIE MNIE SKAZAĆ, JEST PROWADZENIE ZAKŁADU POGRZEBOWEGO BEZ LICENCJI"

Seryjni mordercy często z czasem stają się lekkomyślni; wpadają w „rutynę". Nie inaczej jest też w przypadku klauna Pogo. Kiedy 11 grudnia 1978 roku Gacy zwabia piętnastoletniego Roberta Piesta do swego domu pod pretekstem oferty pracy, a następnie morduje, nie przypuszcza, że chłopiec powiedział wcześniej dwóm osobom, dokąd zamierza pójść. Trzydziestosześcioletni wówczas mężczyzna trafia nagle pod lupę śledczych. Konsekwencją jest przeszukanie jego domu, którego rezultaty przerastają najgorsze obawy policjantów i nawet dla doświadczonych detektywów stają się prawdziwym horrorem: funkcjonariusze tego dnia i w kolejnych tygodniach znajdują szczątki ciał 29 nastolatków ukryte w podpiwniczeniu, pod podłogą garażu oraz w ogrodzie niepozornego domu jednorodzinnego na przedmieściach Chicago. Nieco później, po pierwszych przesłuchaniach Gacy'ego, śledczy odkrywają kolejne zwłoki w rzece.

W tym momencie klaun Pogo zdradza swoje prawdziwe ja – sadystyczne i całkowicie oderwane od rzeczywistości. Toteż przed sądem, mimo że przyznał się do zamordowania „mniej więcej 30 chłopców", z uśmiechem na ustach zeznaje: *– Jedynym przestępstwem, za które możecie mnie skazać, jest prowadzenie zakładu pogrzebowego bez licencji.* Ława przysięgłych jest jednak innego zadania. Wyrok brzmi: 21-krotne dożywocie oraz 12-krotna kara śmierci. Żaden seryjny morderca nie usłyszał do dziś surowszego werdyktu.

Czternaście lat później, 10 maja 1994 roku, Gacy zostaje stracony. Ponieważ igła strzykawki jest zatkana, jego egzekucja trwa aż 18 długich minut. Dopiero po tym czasie seryjny morderca umiera. Ale coś z Gacy'ego przeżyło: sugestia, że nie wolno ufać żadnemu klaunowi, od dawna jest popularnym motywem przewodnim horrorów. Tak jak w przypadku książki *To* Stephena Kinga i opartych na niej filmów. ■

ZDJĘCIA: materiały z filmu *To*/HBO Max; Adobe Stock (3); Wikimedia Commons; domena publ.

NAJMROCZNIEJSZE STRONY ŻYCIA



11 SENSACYJNYCH HISTORII

DO KUPIENIA W DOBRYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY PRASY

NETFILM

NETFLIX HBO MAX PRIME VIDEO APPLE TV DISNEY+ SKYSHOWTIME

























OBEJRZELIŚMY, OCENILIŚMY, REKOMENDUJEMY NAJLEPSZE

PONAD 160 SERIALI I FILMÓW

SZUKAJ W PUNKTACH SPRZEDAŻY PRASY
PRENUMERATA I WYDANIE CYFROWE DOSTĘPNE NA **czytelnia.pl**

www.netfilm.pl